

~~SEMINARIUM JEZYKA POLSKIEGO
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO~~

ROK 1948

ZESZYT 1

PORADNIK JEZYKOWY

**LISTOPAD – GRUDZIEN
1948**



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

TREŚĆ NUMERU

Od Redakcji	str. 1
HALINA KURKOWSKA: O języku „Lalki“ Prusa	„ 2
HALINA KONECZNA: O roli uczuciowej tzw. zaimków konwencyjonalnych	„ 3
STANISŁAW SKORUPKA: Przenośnie z zakresu pojęć lekarskich	„ 12
STEFAN WYREBSKI: O potrzebie polszczenia słownictwa technicznego	„ 16
WITOLD DOROSZEWSKI: Objasnienia wyrazów i zwrotów.	„ 18
JÓZEFA LIS-BŁOŃSKA: Na marginesie tłumaczenia L. N. Tołstoja	„ 21
HALINA KONECZNA: „Świtez“ znowu po polsku	„ 23
J. D.: Jakie to wej wesele było na Bukowinie	„ 24
Czytamy i słuchamy	„ 26
ANDRZEJ SIECZKOWSKI: „Słownik ortopedyczny“ i inne dziwy	„ 28
Co piszą o języku	„ 29
Do Czytelników	„ 31

PORADNIK JĘZYKOWY

DWUMIESIĘCZNIK

KOMISJI JĘZYKOWEJ TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILŃSKIEGO)

OD REDAKCJI

Po przerwie spowodowanej wojną, a potem trudnościami związanymi z organizowaniem nowego życia na gruzach Warszawy wznowiamy *Poradnik Językowy*. Czynimy to nie tylko przez przywiązanie do tradycji, ale dlatego, że cele, którym *Poradnik Językowy* pragnął służyć przed wojną, nie straciły ze swej aktualności dzisiaj, przeciwnie, dziś są one jeszcze bardziej aktualne i w sposób jeszcze bardziej oczywisty godne wysiłku i pracy.

Celem naszym nie jest sama popularyzacja językoznawstwa — dlatego po pierwsze, że chyba nie istnieją nauki bezkierunkowe życiowo: zawsze, choćby nawet w sposób nie zamierzony, wywierają one wpływ na życie, a po drugie dlatego, że od przekładania na język potoczny wyników prac specjalnych ważniejsze wydaje się nam poszukiwanie społecznego sensu nauki o języku w jej całości i praca nad językiem, jako narzędziem służącym kształtowaniu myśli i stanowiącym jeden z ważniejszych czynników rozwoju i postępu kulturalnego narodu.

Nie wpadając w okolicznościową i programową przesadę możemy wyznać, że ów wspomniany przed chwilą *społeczny sens* nauki o języku wydaje nam się jednym z najistotniejszych składników treści — nawet teoretycznej treści — tej nauki.

Co by to miało znaczyć? Może to znaczyć wiele rzeczy. To na przykład, że jeżeli język jest — a jest to niesporne — jedną z form ludzkiego działania, to i praca nad językiem jest pracą nad tym, co czynią ludzie, nad pewnym typem faktów społecznych. Działać, czynić — znaczy to osiągać jakieś zamierzenia. Aby powstawały zamierzenia, muszą się rodzić i w kształt przyoblekać myśli, kształtami zaś myśli są słowa. Żadna rzeczywistość społeczna nie byłaby możliwa bez języka i żaden język nie istnieje poza jakąś rzeczywistością społeczną.

Pracować nad faktami społecznymi, to także dążyć do czegoś w zakresie tych faktów. Przede wszystkim do tego oczywiście, aby je we właściwy sposób rozumieć. Rozumieć zaś — to także potrafić prosto o nich mówić. Wysiłek tzw. popularyzacji, która jest właściwie realizowaniem nauki w życiu, polega na tym, aby nie deformując myśli naukowej znaleźć dla niej jak najprostszą formę wyrazu, a to dążenie w zakresie spraw związanych z językiem niejednokrotnie samej myśli może oddawać przysługę.

W pracy nad językiem — narzędziem myśli — spotykać się mogą nie tylko teoretyk-językoznawca z praktykiem-nauczycielem języka, ale i ci wszyscy, którzy z zastanowieniem posługują się językiem i których jego losy obchodzą i przejmują. Dziedziny wspólnych zainteresowań są bardzo rozległe. Tym dziedzinom pragniemy poświęcić pracę *Poradnika Językowego*.

O JĘZYKU „LALKI“ PRUSA

Towarzysząc Wokulskiemu w jego wędrówkach po ulicach stolicy, jakże inaczej dziś wyglądającej, odwiedzając wraz z nim salony panny Izabeli, kamienicę Łęckich, kantor Szlangbauma czy mieszkanie adwokata, wkraczamy w atmosferę dawności, w dawno minioną rzeczywistość Warszawy lat siedemdziesiątych. Sygnałami tej rzeczywistości są zarówno stroje, których dziś nikt już nie nosi, idee, które już w nikim nie budzą zapału, zdarzenia, które nikt już, prócz historyków, nie obchodzą, jak i przestarzałe formy językowe: słowa, które wyszły z użycia, zarzucone już znaczenia wyrazów, przeżyte już konstrukcje składniowe. Przyglądanie się tym minionym faktom językowym przynosi nam korzyść podwójną. Pozwala przede wszystkim korygować nasze reakcje na dzieło niejednokrotnie zniekształcone przez czas dzielący nas od jego napisania. Nasze współzycie z utworem staje się przez to prawdziwsze i bardziej bezpośrednie. Poza tym przyglądanie się jakimukolwiek wycinkowi historii języka polskiego — a język Prusa jest takim właśnie wycinkiem — przez pryzmat naszego dzisiejszego poczucia językowego daje nam dwa punkty porównawcze szkicujące linie niektórych przynajmniej przeobrażeń dokonywających się w języku.

Te tezy postaram się zilustrować zaczerpniętym z „Lalki“ materiałem językowym ograniczonym do najcharakterystyczniejszych faktów dotyczących znaczenia wyrazów.

Dla Prusa stwierdzenie, że ktoś „obtarł nos z *akcentem* rozrzewnienia“ (I, 237) nie zawierało w sobie takiego ładunku śmieszności, jaki wyczuwamy w nim teraz, mieściło się bowiem w niezmiernie wówczas szerokim zakresie używalności słowa *akcent*. W czasach „Lalki“ już nie tylko mówiono czy szeptano z *akcentem* (I, 79; II, 18, 360; III, 103...), ale nawet z *akcentem* poprawiano się na fotelu (II, 38). Z czasem utracił *akcent* ów niezwykle rozmach znaczeniowy. Dziś jest przede wszystkim terminem naukowym w językoznawstwie, w mowie potocznej ma najczęściej, zbliżone do naukowego, znaczenie „sposobu wymawiania“ (np. „Ma zły akcent francuski“).

Podobne zwężenie znaczenia dokonało się od czasów „Lalki“ i w wielu innych wyrazach zapożyczonych. Jesteśmy np. nieco zaskoczeni, gdy Rzecki, odmawiając kupienia przemyconego tytoniu, mówi:

„Tego brakowało, ażeby aresztowano mnie za *defraudację*“ (I, 190). *Defraudacja* to dziś przede wszystkim sprzeniewierzenie pieniędzy, inne, żywe jeszcze w czasach Prusa (czy Rzeckiego), znaczenia tego wyrazu osłabły.

Mówimy wprawdzie, że ktoś jest *podeksycytowany*, ale nikt by się już, jak pan Wirski, nie żalił na cyrkuł, że *ekscytuje* o wywóz śmieci (II, 166), ani, jak bankier z „Lalki“ nie donosił, że z Paryża *ekscytują* o bulwary (I, 148), takie bowiem użycia nie leżą w o wiele dziś mniejszym zasięgu znaczeniowym słowa *ekscytować*.

Poza dzisiejszym zakresem stosowalności pozostały także niektóre „odgałęzienia“ znaczeniowe wyrazów *interes* i *melioracja*. W dzisiejszych gąskach nie-szczęśliwa miłość budzi zainteresowanie, a nie *interes*, jak w pannie Rzeżuchowskiej, ich koleżance z ubiegłego stulecia. Przez *meliorację* zaś potocznie się dziś rozumie meliorację gruntu, a nie każde ulepszenie; tak właśnie szeroko pojmuje ten wyraz Rzecki, gdy mówi o *melioracjach*, które zaprowadził w kupionym przez Wokulskiego domu (III, 14, 19).

A oto inne przykłady przestarzałych już użyć. Panowie nie *prezentują* się dziś paniom (I, 230, 238; III, 21...), ale im się przedstawiają, nie składają im, jak Wokulski pannie Izabelli, *deklaracji* (II, 270), ale oświadczają się o ich rękę. Dziś, gdy nam się kto narazi, nie *monitujemy* go (II, 130), ale upominamy, grozimy albo zgoła mu wymyślamy. Wyrazy pochodzenia obcego, jak np. *deklaracja*, *monitować*, wypierane przez odpowiedniki rodzime z języka potocznego, często chronią się do języka urzędów.

Żywiołowi rodzimemu najskuteczniej opierają się te zapożyczenia, które, jak wyżej omówione, wyspecjalizowały się znaczeniowo. Tam, gdzie ta specjalizacja znaczenia nie zaszła, daje się zauważyć tendencja do rugowania wyrazów zapożyczonych. Wiele barbaryzmów używanych w „Lalce“ od czasów Prusa straciło na żywotności. Oto kilka zdań, w których dziś na miejscu zapożyczeń, choć jeszcze nie są tu one rażące, użylibyśmy raczej wyrazów swojskich:

„...gra podnieconej *imaginacji*...“ I, 309.

„Z baronem będziesz panna miała lżej, bo to *koneser*“ III, 157.

„Strach, co się tu stanie za kilka *generacyj*...“ I, 116.

„Znamy przecie pańskie *konkiety*...“ I, 100.

„...z paczką *kajetów* w ręce...“ II, 188, (por. II, 31)

„w tym może pan *rachować* na mnie...“ I, 264 (por. I, 329)

„Następny pokój... *lokuje* zabawki...“ I, 196.

„Matuszewicz... *lokował* się w oficynie naprzeciw niej“. III, 11 (por. II, 36),

Zamiast *edycja* (I, 277, 287; II, 250) mówimy częściej *wydanie*, zamiast *mystyfikować* (I, 306) — *zwodzić*, *oszukiwać*, zamiast *koncept* częściej *pomysł*, *dowcip*, czy *kawał*, zapraszamy kogoś na sesję (częściej *posiedzenie*) w jakiejś *sprawie* raczej niż w jakiejś *materii* (III, 35), niepoważną wypowiedź oceniamy znacznie częściej jako *żarty* niż jako *facecje* (III, 193, 249). Dziś panowie nie ćwiczą się w *rajtszuli* (I, 271) w *ekwitacji* (I, 272) i nie oddają koni *berajterom* (I, 255). Nie jeździmy już na *bahnhof* (III, 267), nie używamy *trybuszonów* (por. III, 293), nie bierzemy *sitzbadów* (I, 290), nie otrzymujemy *listów rekomendowanych* przynoszonych przez *bryftrygierów* (III, 29, 313), a w teatrze nie siedzimy na *paradyzie* (II, 50, 55).

Nie zawsze na miejscu usuwanych słów zapożyczonych pojawiają się rodzime. Często jedno zapożyczenie zastępujemy innym. Tak np. wyrazom *klient*, *konkurent*, *szef* daliśmy pierwszeństwo przed wyrazami *kundman*, *epuzer*, *pryncypał*, których Prus używa na równi z poprzednimi (I, 125, 44; II, 147, 158; I, 53, II, 103, 310; I, 13, 100, 121, 307...). Podobnie z naszego punktu widzenia w zwrotach: „gmach *formy* klinowatej“ (II, 197), „spinki w *formie* podków“ stosowniejszy od *formy* byłby wyraz *kształt*.

Wśród zapożyczeń, które się w języku utrzymały, wiele uległo z czasem pewnemu „podwyższeniu“ znaczeniowemu, „wydostojniało“ pozostawiając swoim odpowiednikom swojskim znaczenia zwyklesze, potoczniejsze.

Np. „...w końcu września powinienbym mieć wiadomość... No, o spóźnieniu w takich razach nie trudno, ale za październik dam głowę...“ Rzeczywiście, w *epokach* wskazanych nadeszły wiadomości o Wokulskim...“ III, 306. albo: „... dziwne to bywały *epoki* dla Wokulskiego“ I, 222 (por. I, 310.)

Dziś *epoką* nazywamy nie każdy okres czasu, ale okres ważny i to nie w życiu jednostek, ale raczej w życiu zbiorowisk.

„...panna Izabela brała z sobą naiwnego inżynierka po to, ażeby w jego *asystencji* tęsknić za Wokulskim...“ III, 301.

„... nie angażuj serca, bo ci go w *asystencji* lada chłystka oplują“. II, 95.

Dziś *asystencja* (częściej *asysta*) to nie „towarzystwo, obecność przy kim“, ale „towarzyszenie komu dla podniesienia jego powagi, dodania mu świetności“. (por. Sł. Karłowicza-Kryńskiego). Może zresztą już i Prus wiązał z *asystencją* ów uroczysty odcień znaczeniowy, a w cytowanych zdaniach wyrazu tego użył ironicznie.

W naszym poczuciu językowym za pewną niezręczność stylistyczną mogłoby uchodzić zdanie:

„...panna Izabela trawiła się w ciszy swego pięknego *lokalu*“ I, 65.

Wyraz *lokal*, u Prusa równouprawniony z wyrazem *mieszkanie*, ma teraz, użyty w tym znaczeniu, pewien odcień „urzędowości“. Najczęściej odnosi się on do pomieszczeń publicznych (restauracja, kawiarnia), do siedzib jakichś organizacji czy przedsiębiorstw, a więc do *lokali* zwykle okazalszych niż mieszkania prywatne.

W związku z omawianym przekształceniem znaczeniowym pewną trudność nastręcza wyraz *sensacja*.

„W pierwszym salonie ukazanie się Wokulskiego zrobiło pewną *sensację*“. I, 149.

Wydaje się, że *sensację* należy tu rozumieć po prostu jako „wrażenie“, a nie to, co dziś nazywamy *sensacją*. Za taką interpretacją tego wyrazu przemawiałyby inne zdanie „Lalki“:

„Wydaj kiedy sześćdziesiąt... no, sto tysięcy na rok i powiedz mi pan: czy to robi *sensację* i jaką?“ II, 301.

Nie wiadomo jednak, czy tu użycie wyrazu *sensacja* nie służy celom charakterologicznym, jest to bowiem zdanie pani Wąsowskiej, której wypowiedzi Prus kilkakrotnie zabarwia galicyzmami. Jednym z niewątpliwych jest np. użycie wyrazu *idea* w znaczeniu „pojęcie, wyobrażenie“:

„Ależ pan nie ma *idei* o powożeniu!“ II, 283.

Sam autor wyrazu tego używa, częściej niżbyśmy to robili teraz, w znaczeniu „myśl“:

„On jednakże nie jest tak nikczemnym — rzekła do siebie. I pod wpływem tej *idei* rozmawiała z Wokulskim na wyścigach bardzo łaskawie“. I, 318.

„I w tej chwili opanowała go *idea*, że tamci czterej panowie powinni mu się zaprezentować“. II, 59.

Równie częstym zjawiskiem jak „dostojnienie“ znaczeniowe zapożyczeń jest zjawisko odwrotne: ich „degradacja“ znaczeniowa, nadanie im zabarwienia ujemnego lub, co częściej, okrycie ich śmiesznością. Proces ten jest zapewne związany z poprzednim. Z chwilą, kiedy wyrazy pochodzenia obcego ustaliły się w poczuciu mówiących jako dostojniejsze, podniosłe, użyte w języku potocznym w odniesieniu do zwykłych przedmiotów i spraw codziennych, mogły wydawać się przesadne, więc śmieszne. Poza tym działa tu jeden jeszcze czynnik, o którym była już mowa: zwięźanie się stosowności zapożyczeń, ich cofanie się przed odpowiednikami swojskimi. To, co wychodzi z użycia, starzeje się, przeżywa, bardzo łatwo może się stać śmieszne. Inne niż dziś wycienianie znaczeniowe wyrazów może przy lekturze „Lalki“ prowadzić do nieporozumień.

Np. (Wokulski) „Znowu potknął się o kamień i ten nie znaczący fakt obudził w nim straszliwe *medytacje*. Zdawało mu się, że kiedyś, kiedyś... on sam był kamieniem zimnym, ślepym, nieczułym“. III, 184.

„Był... pogrążony w bolesnych *medytacjach*...“ III, 304.

W obu tych zdaniach (i w kilku jeszcze innych) na tle przejmującego nas smutkiem nastroju stworzonego przez autora wyraz *medytacja* nieco razi. Z dzisiejszego punktu widzenia o wiele bardziej na miejscu byłyby tu wyrazy: *rozmyślania*, *myśli*, bo w *medytacjach* i *medytowaniu* czai się jakiś uśmieszek (np. „nad czymże tak *medytujesz*?“ — do kogoś namyślającego się niepotrzebnie nad czymś nie wymagającym namysłu).

Z podobnych powodów wydaje się nam, że wyraz *desperacja* nie jest dość trafnym odbiciem tego, co się dzieje w trawionej niedobrą miłością duszy Wokulskiego:

(Nie znalazłszy panny Izabeli Wokulski) „Jeszcze raz szklanymi oczyma powiódł po sali i — wyszedł z *desperacją* w sercu“. I, 162.

albo: „Czyliż to może być miłość... zapytywał sam siebie z *desperacją*“ I, 222.

Wyraz *desperacja* nie zachował do dziś takiej pełni znaczenia, jaką miał dla Prusa. Dla nas *desperacja*, to chyba mniej niż *rozpacz*.

Wyraźnie żartobliwym, nieco nawet „wiechowym“ zabarwieniem nasiąknęła *familia*, wielokrotnie użyta w „Lalce“ na równi z *rodziną* (I, 92, 61; II, 141).

W znaczeniu ujemnym wyspecjalizował się wyraz *frazes*, szeroko używany przez autora „Lalki“ jako synonim *zdania*, *wyrażenia*:

„Większość naszych współników ma zwyczaj rozmawiać na sesjach po francusku i językowi nie się nie stało, więc chyba nie zaszkodzi mu kilka *frazesów* w żargonie“. III, 233.

„... prawie natychmiast po podniesieniu kurtyny usłyszał na scenie *frazes*, wypowiedziany płaczliwym głosem: kochanek wszystko wybaczy kochance, wyjąwszy drugiego kochanka...“ II, 219.

„Właśnie pociąg wyjechał z Radziwiłłowa, a pierwszy *frazes*, który zwrócił uwagę Wokulskiego, był ten: — Wszystko możesz mu zarzucić — mówiła panna Izabela po angielsku. — Nie jest młody ani dystyngowany... ale chciwy?...“ III, 173.

Zdania te, wbrew temu, co dziś moglibyśmy o nich sądzić, nie zawierają ujemnej oceny wypowiedzi, o których w nich mowa.

Wyraźnemu „zdegradowaniu“ znaczeniowemu uległ wyraz *kamrat*. Wyraz ten bez odcienia ujemnego znajdujemy w „Lalce“ dwukrotnie, pojawia on się jednak tylko w wypowiedziach Rzeckiego, może więc takie jego użycie już dla Prusa było archaiczne.

„Znalazłbym bodaj kości *kamratów*...“ III, 192.

„Ile armat, *kamracie*?“ I, 173.

(Tu nieodparcie nasuwa się: „Dobrze mówił Suworów: „*Pomnij*, Ryków *kamrat*, żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat“). Dziś *kamrat* nie oznacza już towarzysza broni, ale najczęściej współtowarzysza brudnych jakichś sprawek. Bez ujemnego zabarwienia znaczeniowego wyrazu tego używano w latach ostatniej wojny w obozach jenieckich i koncentracyjnych.

Ciekawsze wnioski, bo związane z budową wyrazów, nasuwa obserwacja zmian znaczeniowych, które od czasów Prusa dokonały się w materiale rdzenie polskim. Łączą się one zwykle z faktem istnienia dubletów słowotwórczych, to znaczy wyrazów bliskoznacznych spokrewnionych słowotwórczo i etymologicznie. Język w swym rozwoju zmierza do coraz wyraźniejszego podziału zna-

czenia między takie wyrazy. Plastycznie zakresy stosowalności dubletów słowotwórczych przedstawiał prof. W. Doroszewski jako dwa pierwotnie mniej lub więcej zachodzące na siebie koła. Powierzchnia wspólna obu kołom staje się z czasem coraz mniejsza, coraz mniej jest takich wypadków, w których można użyć zarówno jednego jak i drugiego wyrazu. Jaśniej zarysuje się to zjawisko na konkretnym materiale językowym.

W czasach Prusa zakres znaczeniowy wyrazu *osobistość* obejmował, oprócz dzisiejszego znaczenia „ważna osoba”, również znaczenie „indywidualność”. Z czasem część zakresu słowa *osobistość* przeszła na własność wyrazu *osobowość*, który jest dubletem słowotwórczym poprzedniego. Dziś nikt tych wyrazów nie użyje zamiennie, bo ich znaczenia odcięły się już od siebie ostro.

Oto więcej przykładów ilustrujących ten sam proces.

Inteligentki i *inteligentny* to dziś dwa wyrazy o jasno skryształizowanych znaczeniach. To ich zróżnicowanie się znaczeniowe nie pozwoliłoby nam na takie użycie wyrazu *inteligentny*, które znajdujemy w „Lalce”:

„Trzeba przyznać, że w tym razie najbardziej zacofane państwa wyprzedziły najbardziej postępowe społeczeństwa, a raczej ich klasy *inteligentne*“. II, 137.

Analogiczny podział znaczeń dokonany między przymiotnikami *szlachecki* i *szlachetny* powstrzymałby nas od takiego użycia tego ostatniego:

„...nawet synowie rzemieślników i handlarzy albo kupowali herby, albo podszywali się pod jakieś zubożałe rody *szlachetne*“. II, 261.

Gdy Prus pisze, że „ciało nabiera tak dziwnej *tęgości*“, (II, 292) to oczywiście nie chodzi mu o przybranie na wadze, ale o *tężyznę*, gdy pisze, że „zdarzył się *następny* wypadek“, to myśli o wypadku *następującym*, nie „drugim z kolei“. Zwyczaj językowy decydujący o rozgraniczeniu znaczeniowym między pokrewnymi słowotwórczo i etymologicznie wyrazami zmienił się dość znacznie od czasów Prusa, jak widać z takich choćby użyć:

„Spoglądał... na stół, gdzie przed chwilą *okazywano* mu nadnaturalne przedmioty...“ II, 242.

Dziś *okazuje się* legitymacje, przedmioty można tylko *pokazywać*.

„Powtarzasz pan stare grzechy, zresztą daleko lepiej *spełniane* przez innych“. I, 305.

„...po *spełnieniu* całego szeregu tak haniebnych występków...“ II, 63.

Dziś grzechy tylko *popelniamy*, *spełniamy* np. obowiązki.

„Wokulski... *zasadził* kapelusz...“ I, 308. (por. I, 14).

Zwrot ten nasunąć może dzisiejszym czytelnikom Prusa obraz kapelusza puszczającego młode pędy. Dziś bowiem słowo *zasadzić* kojarzy się najczęściej z sadzeniem roślin.

„...*usiadł* do pustego przedziału pierwszej klasy“. II, 133.

Dziś do przedziału raczej się *wsiada*, a gdy się *wsiądzie*, to można w nim czasem i *usiść*.

W naszej polszczyźnie nieco inaczej niż u Prusa bieżą granice oddzielające użycia wyrazów: *z walić* i *walnąć*, *przypadkiem* i *wypadkiem*, *uważać* i *zauważyć*, *zwrócić się* i *zawrócić*, *współcześnie* i *jednocześnie*, *nade wszystko* i *przede wszystkim*, skoro rażą nas takie np. zdania „Lalki”:

„...mimoходом *z walił* przez łeb gapiącego się Żydka.“ I, 273.

„...*wypadkiem* spojrział w przeciwległą szybę wagonu...“ III, 173.

(także; „...*wypadkowo* spojrział na damę...“ I, 123).

„Uważałem, że surdut tego młodzieńca połyskuje od tłustych plam“ I, 191.

„Uważałaś, jaką on ma znudzoną minę?“ I, 224.

„Zwrócili się do Pomarańczarni z powrotem“. II, 46. (obok: *zawrócił do miasta*“ I, 165).

„...trzej dorożkarze *współcześnie* zacięli konie“ I, 258 (obok: „*Jednocześnie* przy czwartym stole... spostrzegł hrabinę Karolową i pannę Izabelę“ I, 133).

„...opalił się, zmęźniał, a *nade wszystko* utył“. II, 67. (por. II, 53, III, 44, 50 i I, 189...)

Niektóre imiesłowy bierne w „Lalce“ zawierające „możliwościowy“ odcień znaczeniowy zastąpiliśmy przymiotnikami zakończonymi na *-alny*:

„Niewielka praca a zysk *nieobliczony*“ I, 115 (t. zn. taki, „którego nie można obliczyć“, a więc *nieobliczalny*).

„To *nieuleczony* marzyciel, który nie odzyska rozsądku“. III, 119 (*nieuleczalny*).

Dziś nie powiedzielibyśmy, że ktoś „zapisał adres i swoje nazwisko nie umieszkawszy zrobić przy nim *zakrętu*“ (I, 287), ale użylibyśmy tu wyrazu *zakrętas*. „Drzewo *znajomej* formy“ (I, 47, „poprawilibyśmy“ na „drzewo *znanego* kształtu“, w zdaniu:

„...jeżeli zaś adwokat może być *poufałym* księcia... dlaczegóżby kupiec... nie mógł zostać powiernikiem domu Łęckich?“ I, 324

poufałego, dla uniknięcia nieporozumień, zastąpilibyśmy *zaufanym*, a już na pewno nie powiedzielibyśmy o żadnej kobiecie, jak to pisze Prus o pani Wąsowskiej, że zaczęła mówić niskim, *metalowym* głosem. II, 303. To ostatnie rozróżnienie między *metalowym* a *metalicznym* polega na przypisaniu jednemu z dupleatów słowotwórczych znaczenia konkretnego, dosłownego (*metalowy* to „zrobiony z metalu“), drugiemu natomiast znaczenia nieco metaforycznego (*metaliczny* to najczęściej „właściwy metalowi“). Jeszcze jaśniej zarysowuje się taki rozdział znaczeń w wielu wyrazach różniących się przedrostkami. W zdaniu:

„...*urodzi* mi się w głowie przynajmniej ogólny szkic maszyny latającej...“ I, 243.

zwrot „*urodzi* mi się“ wydaje się zbyt konkretny, funkcję metaforyczną, z dzisiejszego punktu widzenia, lepiej spełniałby zwrot „*zrodzi* mi się“. Podobnego zniekształcenia zamierzeń autorskich, choć znacznie mniej wyrazistego, dokonał czas dzielący nas od dzieła Prusa w zdaniach:

„...mówi dosyć *połamanym* językiem...“ I, 203.

„Swoją rozmowę zakończyła słowami, które dziwnie mnie *poruszyły*“ III, 105.

Zróznicowaniu znaczeniowemu ulegają całe, obszerne nawet, zwroty bliskoznaczne o pokrewnej konstrukcji. Tak np. zwrot „*ścisnąć kogoś za rękę*“ jest w „Lalce“ stale używany w znaczeniu „uściśnięcia komuś ręki na pożegnanie lub powitanie“.

Np. „*Niecierpliwie ścisnął go za rękę* i popychał ku drzwiom“. II, 259.

W dzisiejszej polszczyźnie językowym odpowiednikiem tego gestu jest zwrot *uściśnąć komuś rękę*.

To omówienie fragmentu materiału językowego „Lalki“ może nasuwać pewne wątpliwości. Czy można utożsamiać język utworu z językiem autora? Zastrzeżenie to jest po części słuszne. Nikt przecież nie przypuszcza, że Sienkie-

wiecz mówił językiem bohaterów „Ogniem i mieczem“, a Żeromski stylem „Dumy o hetmanie“. Nie ulega wątpliwości, że język utworu literackiego jest podporządkowany swoistym celom artystycznym. W akcentowaniu rozdziału między mową autora a językiem dzieła nie należy jednak przesadzać. Szczególnie w utworze typu „Lalki“ nie jest on wielki. Jest to bowiem powieść o charakterze realistycznym, dla autora współczesna. Poza tym, jak się zdaje, Prus nie tak wiele troski i świadomej pracy, o ileż mniej niż np. Żeromski, poświęca samemu słowu. Jednym z dowodów tego jest choćby fakt, że dwa konteksty językowe „Lalki“: narracja autorska i wypowiedzi bohaterów powieści, przynajmniej pod względem słownictwa, są na ogół mało zróżnicowane. Niewiele jest również (pomijając mowę osób charakteryzowanych karykaturalnie) śladów stylizacji języka poszczególnych postaci fikcyjnych. Wszystko to pozwala, oczywiście z zachowaniem pewnych ostrożności i w niektórych tylko zakresach faktów językowych, na traktowanie języka dzieła na równi z językiem jego twórcy.

Na koniec jedna jeszcze wątpliwość: czy przytoczone znaczenia wyrazów, niezgodne z naszym poczuciem językowym, były właściwe czasom Prusa czy tylko jemu samemu? Lektura współczesnych Prusowi pisarzy i przeglądanie słowników wątpliwość tę w większości wypadków usuwa. Zupełne jej rozstrzygnięcie byłoby możliwe, gdybyśmy rozporządzali słownikiem języka polskiego uwzględniającym dokładnie historię każdego wyrazu i ilustrującym ją przykładami w sposób bardziej wyczerpujący niż to robi Słownik Karłowicza-Kryńskiego.

Halina Kurkowska

O ROLI UCZUCIOWEJ TZW. ZAIMKÓW KONWENCJONALNYCH

Pod wpływem artykułu *Podkreślenia uczuciowe* prof. H. Willman-Grabowskiej (Biul. Pol. Tow. Jęz. 1937) opracowałam w r.1938 dokładniej zaimki osobowe w formie celownika używane w języku potocznym dla zaznaczenia stosunku uczuciowego osoby mówiącej do wypowiedzianych przez nią myśli. (p. Por. Jęz. z. 7, 1938/39).

Obecnie zebrałam więcej przykładów ilustrujących pewne sposoby wyrażania uczuć. Dla uzyskania pełnej zwartości zacznę od przytoczenia tego, co przed kilku laty podałam o celowniku zaimków osobowych w funkcji tzw. *celownika konwencjonalnego*, nazywanego również *dativus ethicus* czyli celownikiem zwyczajowym.

W języku potocznym, a zwłaszcza w gwarach ludowych, jest on bardzo rozpowszechniony.

Może najrzadziej jeszcze stosowany bywa w takiej roli zaimek 1. osoby *mi* lub w liczbie mnogiej *nam*. Przytaczane przez p. Willman-Grabowską powiedzenia w rodzaju „jakże *mi* pani zmizerniała“ albo „bardzo *nam* pani wyładniała“ słyży się nie tak bardzo często. Trzeba przyznać, że formy *mi* czy też *nam* w tej funkcji nie rażą nas wulgarnością (choć mogą czasem irytować jako nazbyt poufale), może dlatego, że mówiący wyraża przez użycie tego zaimka bliskie, przyjazne uczucia dla osoby, do której te słowa kieruje.

Znam w Warszawie pewną liczną rodzinę mówiącą językiem klas wykształconych, która posługuje się często celownikiem zaimka 1. osoby w tym znaczeniu — ale tylko w odniesieniu do najbliższych członków rodziny. „Jadzia *nam* się popisała“, mówi dziadek o wnuczce. „Stach *mi* się pochorował“, po-

wiada matka o synu. W tych użyciach zaimków *nam*, *mi* można się dopatrzeć czegoś więcej niż tylko zabarwienia elementem uczuciowym wypowiedzianych zdań. Sukcesy wnuczki czy też dziecka albo ich choroby — to zawsze pewna moralna korzyść lub krzywda dziecka czy matki. Tu więc celownik konwencjonalny zachowuje jeszcze w sobie wiele z charakteru dawnego *celownika pożytku* lub *szkody*, z którego się rozwinął.

Najbardziej rozpowszechnił się, ale też i najbardziej wulgarnie brzmi zaimek 2. osoby w omawianej tu funkcji. Zdaniem tego typu co „jak *ci* krzyknę“, „jak *ci* on nie poleci“ nikt z mówiących językiem literackim się nie posługuje; czasem słyszymy to *ci* w niezbyt eleganckich wyrażeniach — wykrzyknikach: „masz *ci* los!“, „a to *ci* kawał!“, „a to *ci* chryja!“.

Tak pospolity dziś w wielu gwarach zwłaszcza miejskich i podmiejskich celownik konwencjonalny zaimka 2. osoby pojawia się bardzo wcześnie w naszym piśmiennictwie, bo spotykamy się z nim już w zabytkach średniowiecznych, zwłaszcza aż nadto obficie szafuje nim autor Kazan Gnieźnieńskich pochodzących jeszcze z XIV wieku, a znanych nam z odpisu z XV stulecia. Oto przykład z 1. kazania: „...gdyż*ci* się ktoremu krolewi albo książęciu syn narodzi, tedy*ć* więc po wszystkim krolestwu pošli bieżą, a to orędzie (oni) powiedają*ć*, iż*ci* się jest (był) krolewie narodził, (a) takie*ż**ci* święci anjeli są*ć* to oni to byli uczynili, (iż*e*) gdyż*ci* się Chryst jest był narodził, (tedy*ć* więc) iż*e*ć oni o jego narodzeniu są*ć* nam byli powiedali. A na powietrzu*ć* słodkie pienie są*ć* oni byli śpiewali“... (W. Taszycki, Najd. zab. j. p. Kraków 1927, B. N. 104).

W jednym zdaniu można spotkać kilkakrotnie powtórzone całe *ci* lub też w skróconej postaci *-ć*. Pełną formą *ci* posługuje się pisarz wtedy, gdy wyraz, do którego się ten zaimek dołącza, kończy się na spółgłoskę: *iż*ci**, *coż*ci**, *też*ci**, *tenci*, *tych*ci**, *jemuż*ci**, *dalekich*ci**, *poszedł*ci**, *jest*ci**, ale zawsze jako *-ć*, jeżeli poprzedzający wyraz ma w wygłosie samogłoskę: *iż*e*ć*, *aleć*, *jakoć*, *jenż*e*ć*, *sweć*. (= *swe*), *każ*e*ć* (= *każda*), *wszystki*ć** (= *wszystkie*), *są*ć**, *przydzie*ć** (= *przydzie*).

Jak widać z przytoczonego wyżej tekstu, zarówno *ci* jak i *-ć* mają w Kazaniach Gnieźnieńskich tę samą wartość; nie konkretnego nie znaczą, a zadaniem ich jest jedynie ożywienie toku wygłaszanych kazań. (Nawiasem mówiąc i tej roli w zabytku nie pełnią, gdyż zbytne przeładowanie nimi tekstu wywołuje właśnie nużącą monotonię). To przekształcenie się niegdyś samodzielnego wyrazu — zaimka w wyrazek wzmacniający (t. zw. partykułę epidejtyczną) wywołało także zmianę w postaci fonetycznej wyrazu. Ponieważ samogłoska *-i* nie była już znamieniem formalnym celownika, gdyż wyrazek zatracił związek z systemem deklinacyjnym zaimku *ty*, więc stała się ona zbyteczną i zanikła redukując w ten sposób wyraz do spółgłoski *-ć*; dawna pełna postać *ci* zachowała się jedynie w tych okolicznościach, gdy skróconej formie groziła całkowita zatura brzmienia, a więc po spółgłosce lub grupie spółgłosek wygłosowych poprzedzającego wyrazu. Działy tu więc względy natury fonetycznej. I jeszcze jedna znamienna cecha już tylko w zakresie pisowni: pisarz Kazan Gnieźnieńskich łączył zawsze zarówno *-ć* jak i *ci* w omówionym użyciu w nierozdzielną całość z poprzedzającym wyrazem. A więc i pod względem graficznym zaznaczyła się zatura samodzielności znaczeniowej tych wyrazów.

Taką samą wartość jak w Kazaniach Gnieźnieńskich ma *-ć* w dzisiejszych gwarowych *prze*ć**, *ady*ć**, *dy*ć**, *to*ć**, *ju*ć** (= *już*ci**; po spółgłosce *-ż* zachowało się całe *ci*), gdzie końcowe *-ć*, *ci* odpowiadają całkowicie wyrazkom *-ż*, *-że* z ję-

zyka klas wykształconych w połączeniach takich, jak: *również, ależ, toż, jednakże itp.* I, tak jak czasem powtarzamy dwa razy cząstkę epidejktyczną, choćby w wyrazach *jakżeż, jednakżeż*, tak samo zdwaja się *ci* w *juścić*.

Wreszcie przechodzimy do celownika 3. osoby, *sobie*. Tej formy w charakterze czysto konwencjonalnym używamy wszyscy, najczęściej w mowie potocznej. Na pytanie „*jak się czujesz?*“ odpowiadamy: „*tak sobie*“ często słyszymy „*posiedzę sobie sama*“, „*pójdę już sobie*“, ogólnie używamy w nieco żartobliwym tonie „*podjadł sobie*“, „*podpił sobie*“, w piosenkach śpiewamy: „*Skacze ptaszek po ulicy, zbiera sobie ziarn pszenicy, a ja sobie stoję w kole i wybieram kogo wolę*“ albo „*Siedzi sobie zając pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą*“. Również i w literaturze mamy liczne przekłady użycia zaimka *sobie* w tym znaczeniu np. „*a choć sobie drzymał, czuwał jak żuraw*“ (W. Pol „*Mohort*“ w. 348,9), „*tylko wrony przechadzają się sobie poważnymi krokami*“ (Mickiewicz, „*Pan Tadeusz*“, ks. X, w. 34, 5). „*Niech sobie będzie*“ (Jerzy Bąkowski „*Zołojka*“, str. 96). Nigdzie tutaj zaimek *sobie* wartości ujemnych, wulgarnych nie wnosi, natomiast wprowadza wyraźne zabarwienia uczuciowe, nadaje wypowiedziom charakter bardziej osobisty, bezpośredni. I ta jego rola jest tak charakterystyczna, że Mickiewicz nie waha się użyć zaimka *sobie* bezpośrednio po czasowniku zwrotnym, wskutek czego spotykają się z sobą w cytowanych wierszach formy *się* i *sobie*.

W wyrażeniach „*podpić sobie*“, „*podjąć sobie*“ można się jeszcze doszukać w zaimku dawnego znaczenia celownika pożytku.

Widocznie zaimki na skutek tego, że są wyrazami, które same przez się nie mają wyraźnego znaczenia, lecz tylko na coś wskazują, przy czym treść ich jest zawsze indywidualna, bo zależy od okoliczności każdorazowego ich użycia, łatwiej mogą od innych wyrazów o ściśle określonej treści znaczeniowej wyrażać stosunek uczuciowy osoby mówiącej do przedmiotów myśli w jej wypowiedziach.

Tak jak wyżej omówione zaimki osobowe mające formy celownikowe, a pochodzące z dawnego celownika szkody lub pożytku przekształciły się w zaimki konwencjonalne nie mające dziś żadnego samodzielnego znaczenia i nadające się do użycia po każdym prawie wyrazie w zdaniu (patrz wyżej wspomniane Kazania Gnieźnieńskie), tak samo zaimki wskazujące *ten, ta, to* występując w mowie potocznej przed rzeczownikami i ich przydawkami stają się w pewnych okolicznościach już tylko wyrazkami o treści czysto uczuciowej.

Oto szereg przykładów:

„*Tak mnie ten pan Jankowski dziś zdenerwował*“ (Wszyscy, którym to zdanie zostało zakomunikowane, bardzo dobrze wiedzą, kto to jest pan Jankowski i zaimek *ten* wcale go nie wyróżnia, ani lepiej nie określa, gdyż jedna jest tylko osoba tego nazwiska w naszym otoczeniu).

„*Ta Jaśka jest nieznośna!*“ (nie ma innej Jaśki w naszym towarzystwie i zdanie „*Jaśka jest nieznośna*“ byłoby tak samo zrozumiałe jak i wypowiedziane z zaimkiem *ta*).

„*Ach, to błoto!*“

„*Żeby się już raz ta wojna skończyła!*“ (Tak mówiliśmy zazwyczaj w rozdrażnieniu, natomiast w chwilach opanowania wystarczały nam w zupełności wypowiedzi zaczynające się mniej więcej tak: „*Kiedy już się wojna skończy, to...*“).

„Och *te* ręce, *te* nogi tak bolą!“ — skarży się ktoś cierpiący na ból własnych rąk i nóg.

„Tak mi dzisiaj *ten* kaszel dokucza!“ — mówi osoba zmęczona i rozdrażniona silnym kaszlem, ale wtedy, gdy opowiada spokojnie o tym samym zjawisku w parę dni później, ujmuje swoją myśl w następujące zdanie: „przedwczoraj bardzo dokuczał mi kaszel“.

„*Ten* plugawy Wacek znów się koło nas kręci!“ (Nie znamy żadnego innego Wacka prócz bardzo niebezpiecznego dla Polaków żandarma z pobliskiego posterunku żandarmerii niemieckiej).

„Ona jest miła i przyjemna w towarzystwie, ale *ten* jej mąż — to gagatek!“ (Osoba, o której właśnie mówimy ma tylko jednego męża, jest więc rzeczą zupełnie zbyteczną dla celów logicznych określanie go zaimkiem *ten*).

„Gdzie jest *ten* szofer od *tego* wozu?“ — zwraca się zdyszany szybkim biegiem, zdenerwowany milicjant do pasażerów autobusu, który ma za chwilę już ruszyć w drogę.

We wszystkich przytoczonych wyżej zdaniach nie tylko szczególniejsza intonacja ale i zaimki *ten*, *ta*, *to* służą do wyrażenia uczuć osoby mówiącej. W tych wypadkach zatracają one właściwy charakter wskazujący a „demonstrują“ tylko pierwiastek uczuciowy, przez co wzmacniają, silniej podkreślają dany rzeczownik.

Ciekawe, że używanie zaimków wskazujących w poezji naszej jako wyrazów o treści uczuciowej nadaje jej odrębny typ. Przytoczę tu krótki wiersz Konopnickiej:

Pod *tą* cichą, złotą zorzą
Żurawie leciały,
Z *tym* szerokim pustym polem
Krzykiem się żegnały.

Ty szerokie, puste pole,
Ty czarny ugorze,
Już my lecim, odlatujem
Za *to* sine morze.

Hej! Szerokie, puste pole
W sinych mgłach stojące
Czekaj ty nas, jak zaświeci
To majowe słońce,

A my drogi nie zagubim
Przez *to* morze sine
Po pióreczku rzucać będziem
W szumiącą głębinę.

Zaimki *ten*, *ta*, *to* (obok wielu innych „chwytów“ poetyckich — choćby częstego użycia zaimka 2. osoby w wołaczcu) wzmacniają w wierszu nastrój tęsknoty i smutku, a przy tym są one wyrazem tak wielkiej bezpośredniości i prostoty, że od razu każą nam zaklasyfikować utwór ten do poezji ludowej.

Również i przysłówki z rdzeniem zaimkowym mogą w języku potocznym zatracać niekiedy swoje właściwe znaczenie i stawać się tylko wyrazem uczuć osoby mówiącej.

I tak, na przykład, słyszymy prawie codziennie:

„Co mi *tam* po tym!“

„A *tam*!“

„A niech *tam*!“ „Ale gdzież *tam*!“

„Idź *tam*!“ — w znaczeniu: „Nie zwracaj mi głowy!“

„Chcesz, to się ucz, ja *tam* uczyć się nie będę!“

Przed paroma dniami w Łowiczu słyszałam:

„Jo go *tamej* nawet widzieć nie chce!“

Przysłówek *tam* o charakterze uczuciowym jest dziś tak bardzo rozpowszechniony, że i w poezji współczesnej znajduje zastosowanie. Oto Broniewski wiersz swój nawet tak tytułuje: „Co mi *tam* troski“, a w wierszu tym powtarza często zwroty takie jak: „co mi *tam* śniegi Syberii, co mi *tam* piaski Libii“. I tutaj użycie przysłówka nie w jego logicznym, lecz uczuciowym znaczeniu pomaga poecie do wykazania prostych i silnych uczuć Polaka-żołnierza w czasie ostatniej wojny.

Okazuje się więc, że rdzenie zaimkowe bez względu na to, czy są one zaimkami osobowymi (*mi, ci, nam, sobie*), czy wskazującymi o charakterze przymiotnikowym (*ten, ta, to*), czy też przysłówkowymi (*tam*) mogą w pewnych wypadkach stawać się zaimkami *konwencjonalnymi*. Dzieje się to wówczas, gdy w języku potocznym chcemy wraz z pewną treścią logiczną zakomunikować nasz stosunek uczuciowy do tych wypowiedzi.

Halina Koneczna

PRZENOŚNIE Z ZAKRESU POJĘĆ LEKARSKICH

Jeżeli chcemy wyrazić treść naszych myśli w sposób nowy odpowiadający naszym nowym przeżyciom lub doznaniom, nie uciekamy się do tworzenia zupełnie nowych wyrazów. Najczęściej starym wyrazom lub wyrażeniom nadajemy nowe znaczenie. To nowe znaczenie może być zrozumiałe dla innych tylko wtedy, jeżeli uwypukla i tłumaczy je kontekst lub sytuacja. Wyrazy *lekarstwo, gorączka, ślepy* używane w oderwaniu bez bliższych określeń lub kontekstu mogą być błędnie rozumiane, albo zrozumiane w najczęściej spotykanym sensie, tj. w znaczeniu „leku, podniesionej temperatury ciała, cechy oznaczającej brak zdolności widzenia“.

Jeśli zestawimy te wyrazy z innymi wyrazami, sens ich ulegnie zmianie: *ślepa* uliczka — to uliczka bez wyjścia, a więc wyraz *ślepy* znaczy tu w tym kontekście tyle, co „bez wyjścia“;

gorączka złota — to chęć szybkiego zubożenia się, podniecenie wywołane tą chęcią; wyraz *lekarstwo* w takich np. zdaniach: „Głód dobre na gnuśność lekarstwo“ lub „Cierpliwość najlepsze lekarstwo“ oznacza „środek, sposób, radę“ i jest użyty przenieśnie.

Jednym z najstarszych, a jednocześnie zawsze żywych przyczyn zmian znaczeniowych wyrazów jest przenieśnia.

Przenieśnia jest zjawiskiem językowym ujmującym obrazowo, niekiedy w skrótach obrazowych, nasze przeżycia, nasze myśli. Kiedy chcąc w dosadny sposób określić wielką ilość myszy i szczurów grasujących w zrujnowanej War-

szawie nazwiemy je *plagą* albo patrząc na ptaki przelatujące w wielkiej masie pomyślimy o *chmurze* ptaków — to we wszystkich tych wypadkach mamy do czynienia z przenośnią.

Mechanizm powstawania przenośni jest natury psychicznej i polega na nadawaniu odmiennego znaczenia jakiemuś wyrazowi lub wyrażeniu, zestawionemu z innym, z którym łączą go pewne cechy wspólne. Wyrazy *twarde* i *złote monety* dolarowe łączy wspólna cecha, mianowicie twardość, dzięki czemu przenosimy tę cechę na całość przedmiotu (pojęcia) i zastępujemy dotychczasową nazwę pojęcia nazwą inną, mianowicie nazwą owej wspólnej cechy.

W wyrażeniu takim jak *chmura* ptaków wyróżniamy również pewną cechę łączącą ptaki z chmurą, mianowicie w ptakach zwartą masę kształtem przypominającą chmurę. Nie zastępujemy jednak jednego wyrazu drugim, lecz uzupełniamy, dopełniamy wzajemnie pojęcia oznaczone obu wyrazami. Formalnie ten typ przenośni wyraża się formą dopełniaczową jednego z członów.

Typem podobnym znaczeniowo, choć różnym formalnie, będą przenośnie takie, jak *klatka* piersiowa lub *ognisko* chorobowe. W obu wypadkach niezbędnym warunkiem zróżnicowania znaczeniowego wyrazów *ognisko* i *klatka* są określenia przymiotnikowe. Wyrazy te stały się terminami technicznymi, choć u podstawy ich powstania leży przenośne ich użycie.

Jest bardzo wiele dziedzin, z których czerpiemy przenośnie spotykane zarówno w języku potocznym jak i poetyckim. Zjawiska natury, świat roślinny i zwierzęcy, życie religijne, urządzenia społeczne, sport, rzemiosło, technika, nauki ścisłe, sztuki piękne itp. — oto częśćka tych dziedzin, które są niewyczerpanym źródłem przenośni. Do wszystkich dziedzin życia i wiedzy ludzkiej wprowadzamy nowe pojęcia, a w związku z tym nowe zwroty i terminy.

Przyjrzyjmy się przenośniom z jednej dziedziny, z dziedziny pojęć lekarskich.

Ustalenie terminów lekarskich, zwłaszcza anatomicznych, odbywało się drogą przenośnego użycia istniejących już w innym znaczeniu wyrazów.

1. Dzisiejszy termin anat. *kończyny* oznaczający „ręce i nogi“ powstał w ten sposób, że nazwę tę o znaczeniu pierwotnym „krańce, zakończenia, kresy, granice“ przeniesiono na „zakończenie“ korpusu, na wystające jego „końce“, czyli na ręce i nogi, jak o tym świadczą mogą następujące cytaty ze „Słownika języka polskiego Karłowicza — Kryńskiego“ (w skr. Sł. KK.).

„Wszystkie kończyny ziemi Boga chwalić będą“. Troc.

„Królowie przyszli od kończyn ziemi“. Pot.

„Chował się w olszynach, które na widnokregu czerniały kończynach“. Mick.

W dziedzinie budownictwa wyraz ten oznacza „ostre zakończenie jakiejś części budowli“ np. szczytu dachu, wieży itp.

Wyraz *ognisko* używany w przenośnym znaczeniu „siedliska, źródła, gniazda, punktu centralnego“ (por. w „Odzie do młodości“: „Zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“) był punktem wyjścia dla lekarskich terminów: *ognisko* chorobowe, *ognisko* ropne, *ognisko* gruźlicze.

Podobnie wyraz *objaw* używany w staropolszczyźnie w znaczeniu „objawienie, widzenie, wizja“ po zmianie znaczeniowej na „przejaw, znak, symptom“ stał się terminem lekarskim: *objaw* chorobowy a choroby. Wyraz *powietrze* oznaczał w stp. „mór, zaraza morowa, dżuma“, jak na to wskazują nast. cytaty:

„Powietrza się obawiasz, lecz upewniam cię Pietrze

Na powietrzu ty umrzesz, a nie na powietrze" — na szubienicy, nie na zarazę. Koch. Sł. KK.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!“ Pśń. Sł. KK. Jako termin lekarski wyszedł z użycia.

Wyraz *źródło* poprzez przenośne „początek, powód, przyczyna“; *źródło* energii, światła, bogactwa, wiadomości stał się terminem lekarskim w wyrażeniach: *źródło* choroby, zarazy = rozsadnik, gniazdo choroby, zarazy.

Większość jednak terminów lekarskich to przenośnie pozorne. Otrzymaliśmy je już gotowe przeważnie z łaciny i greki. Terminy polskie są dosłownymi przekładami terminów obcych. Oczywiście u podstawy tych terminów leży przenośnia, gdyż w nazwach anatomicznych części ciała lub w nazwach pewnych schorzeń kierowali się twórcy tej terminologii podobieństwem tych części lub czynności do przedmiotów istniejących w naturze lub czynności mających już swoje nazwy w języku. Terminy takie, jak: *cesarskie cięcie* (sectio caesarea); *drżenie* (tremor): d. powiek, d. gałek ocznych, d. klatki piersiowej; *jama* (anat. cavum): j. ustna, nosowa, gardłowa; patol. *caverna*: j. w płucach; *klatka* piersiowa (thorax); *komora* serca (Herzkammer); *komórka* (cellula); *koguci chód* (Hahnentrittgang); *kora* mózgowa (Hirnrinde); *korzeń* (radix): k. zęba, włosa, korzenie nerwowe; *kowadełko* (incus); *migdał, migdalek* (amygdalus); *siodło* tureckie (sella turcica) = część kości klinowej czaszki; *wyrostek* (processus): w. barkowy, łokciowy, robaczkowy; *wyspa* w mózgu (insula telencephalii); *wzgórek* (mons): w. łonowy, kości krzyżowej, wzrokowy; *zaburzenie* (perturbatio): z. krążenia, odżyweze, ruchowe; *zagroda* (claustrum v. nucleus taeniaeformis) = pasemko tasiemkowate szarej substancji mózgu; *zarodek* (embrio): z. choroby (Krankheitskeim); *zatoka* (sinus): z. czołowa, szczękowa; *żagiel* (velum): ż. zastawki w sercu, ż. rdzeniowy są tłumaczeniami mniej lub więcej dosłownymi terminów łacińskich, niekiedy niemieckich.

II. Właściwymi przenośniami są użyte przenośnie terminy lekarskie, oznaczające różne schorzenia lub zabiegi lekarskie. Przenośnie tego rodzaju, częste w języku poetyckim, rzadziej spotyka się w języku potocznym, mówionym. Oto szereg przykładów:

„Idee Ruskina przechodząc na grunt paryski uległy znacznym modyfikacjom i *amputacjom*“. I. Matuszewski. Pisma I, 64.

„Do miejsce tych rzadko zajeżdża szlifierz ze swym przeraźliwie dźwięcznym młotkiem, a rzadziej jeszcze katarzyniarz ze swym *astmatycznym* instrumentem“ Prus. Opow. W. 6.

„*Bakcyl* uświadomienia narodowego byle człowieka tknął, już go posiadał, już go żre tajemnie, trawi, nie popuści. Z. Kossak-Szczucka. Nieznany kraj, str. 156, W-wa 1932.

„Wypolerował jego rozum, a zdjął z umysłu jego *bielmo*. Górnicki. Zwroty; *Bielmo* mieć na oku, *bielmo* spada komuś z oczu.

„Kraj ten zniszczyła tak wolności *dżuma*“. Słowacki. Sł. KK.

„Wyobraź sobie, że u państwa Korkowiczów trafiliśmy na sercową *epidemię*“. Prus. En. IV, 95.

„To ucieszą się redakcje, które na jakiś czas przestanie *kataplazmować* artykułami“. Prus, I, 10.

„Z tych majątkowych ostatnich *konwulsji* nie zyskał jedno wyrok przeciw sobie“. Słowacki, Pis. III, 430.

„Jego duszy brakło tej cienkiej nitki, co łączy projekt z wykonaniem, ale za to istniał bardzo gruby *nerw* posłuszeństwa“. Prus, Pis. X, 26.

„Gdy się upiększyć chce garniturem, miewam *paroksyzm* natchnienia“. Prus. Pis. I, 31.

„Ja czuję *puls* twój chory, o miasto wielkie!“. Berent, Próchno, 68.

„Powinieneś się pan czym prędzej wyleczyć z tego *świerzbu* społecznego“. Berent, Sł. KK.

„*Tętnice* życia narodowego zaczęły bić silniej“. Dębicki, Sł. KK.

„Jad balowego *tyfusu* do reszty zakażał mu krew“. Prus, Now. II, 247.

III. „Serce dziewczęcia otwiera mu się pomału *komórka* za *komórką*“. Zawiliński. Sł. KK.

„Odpywam, aby wśród *tesknot obłądu*

„Nabrać sił nowych, dzikiego rozpędu“. Staff, Ptakom niebieskim, 31.

„On nie jest złudzeniem, ale rzeczywistym człowiekiem chorym na *raka* w duszy“. Prus, Lalka, IV, 77.

„Moralna jej istota przynajmniej uniknęłaby *raka* rozkładających myśli“. Komornicka, Szkice, 135, W-wa, 1894.

W przytoczonym materiale wyróżnić możemy 3 grupy:

Pierwsza to przenośnie, które wchodzą w skład terminologii lekarskiej: *kora* mózgowa, *ognisko* choroby, *komora* serca, *kamień* nazębny, *wyspa* kresomózgowia.

W niektórych nie odczuwamy już ich przenośnego znaczenia (ognisko choroby).

Druga — to terminy lekarskie, bardzo często obcego pochodzenia, które wyzyskiwane są jako przenośnie w języku poetyckim. Obrazowość ich jest jeszcze świeża i nie starta.

Trzeci typ to terminy lekarskie, które powstały drogą przenośni z wyrazów potocznych i z kolei same stały się w tym znaczeniu, w znaczeniu lekarskim, przenośniami.

Wyraz *komórka* ma znaczenie pierwotne „składziku, izdebki“, pod wpływem łacińskiego *cellula* stał się terminem lekarskim (w anatomii i histologii) i w tym znaczeniu stał się podstawą przenośni w przytoczonym wyżej przykładzie.

Podobnie wyraz *oblęd* w staropolskiej formie *obląd* oznaczał początkowo „błąkanie się, chodzenie bez określonego kierunku“, następnie nabrał znaczenia „błądu, pomyłki, błędnego mniemania“, jak o tym świadczyć mogą następujące przykłady:

„Białogłowy siłakroć oblędy mężczyńskie naprawowały“. Górnicki. Sł. KK.

„Lud w oblędzie będący oświecić należy“. Linde.

Wreszcie stał się synonimem obląkania, które również łączy się z nim etymologicznie. Jako termin lekarski odpowiada gr.-łac. *mania*: o. miłosny (erotomania), o. niszczycielski, o. opilczy itp.

W wyrazie *pielęgnować* mającym znaczenie „doglądać, otaczać opieką“ pojęcie doglądania odnosi się początkowo do strony fizycznej „pielęgowanego“ przedmiotu, o czym świadczą takie zwroty jak: pielęgnować kogo w chorobie, w starości, w kalectwie; p. rośliny. Dzięki przenośnemu użyciu zakres „pielęgowania“ rozszerza się również na dziedziny duchowe: pielęgnować tradycję, dobre obyczaje, ideały; p. znajomości. Wreszcie w wyrazie *rak* nazwa zwierzęcia

na skutek podobieństwa do tegoż zwierzęcia przeniesiona została na rodzaj nowotworu złośliwego pasożytującego na organizmach żywych. Termin patologiczny przeszedł do języka polskiego z łaciny (cancer, carcinoma) i po ustaleniu się i upowszechnieniu wyzyskany został znowu jako przenośnia w języku poetyckim.

Przykłady te świadczą, jak żywym środkiem językowym, a zwłaszcza poetyckim jest przenośnia — wieczne, nieustające źródło postępu i rozwoju zarówno języka potocznego, jak i ścisłego, naukowego.

Stanisław Skorupka

O POTRZEBIE POLSZCZENIA SŁOWNICTWA TECHNICZNEGO

Każda grupa społeczna czy zawodowa ma swój „język“ charakterystyczny zarówno pod względem słownictwa, jak i zwrotów. Język taki ma również rzemiosło polskie, stanowiące jedną z najstarszych grup zawodowych. Choć jednak na języku rzemieślników polskich najsilniej zaciążyła tradycja podtrzymywana organizacjami cechowymi, choć stanowi on dzisiaj obok języka myśliwskiego całość zamkniętą w sobie, to przecież nie doczekał się jeszcze opracowania naukowego.

Jak wiadomo nasze słownictwo zawodowe wyrosło na gruncie języka niemieckiego. Polszczenie tego słownictwa jest zagadnieniem o tyle pilnym i wymagającym natychmiastowej interwencji, o ile pilną i ważną dla nas jest sprawa rugowania z naszych terenów wszelkich śladów niemczyzny, której parę wieków temu daliśmy ciepłe schronienie i dobry chleb. Sprawa jest ważna a ważność jej dowodnie uzasadniona.

Slusarz Juliana Tuwima, który „poszedł po *holajzę*, albowiem z powodu *kajli na iberlaufie trychter* rzeczywiście robiony był na *szoner*, nie zaś *krajcowany*“ — to nie przejawskrawiona przez poetę postać.

Świadczą o tym materiały zebrane przeze mnie i uczniów I Państwowego Gimnazjum i Liceum w Łodzi w czasie rozmów z właścicielami i pracownikami łódzkich warsztatów rzemieślniczych. Oto próbka słownika piekarzy:

- bajta* — dzieża do zarabiania ciasta
- brotsziber* — piekarz wsadzający chleb do pieca
- buchta* — duża, pulchna, poczwórna bułka
- deska zec!* — hasło do wsadzania bułek na łopatę
- faska* — naczynie służące do przerzucania ciasta
- forszub* — normalna ilość wypiekanego chleba
- gara* — dostateczny wzrost ciasta (ciasto ma *garę*, *garuje*).
- garnegle* — stojaki, na których układa się ciasto na bułki
- kajzerki* — bułki zawijane na pięć razy
- kryka* — pogrzebacz
- lenga* — długa bułka
- lufta* — przykrywy do kanałów piecowych
- nachszub* — nadwyżka do normalnej liczby wypiekanego chleba
- szlak* — łopata służąca do wsadzania chleba do pieca
- szlaka* — żużel węglowy
- sztuchmal* — zmiotki mączne

- szwila* — wytwarzanie pary w piecu (daj im dobrą *szwilę*)
szlajfować — odcinać bułki
tambret — zastawa w dzieży służąca do oddzielania mąki od ciasta
werkmajster — starszy czeladnik odpowiedzialny za wypiek ciasta
werkować — formować ciasto
wajskacter — piekarz pracujący przy pszennym cieście.

Przykładów z innych dziedzin rzemiosła mógłbym przytoczyć bardzo dużo. Kowale *szwejsują* żelazo, *szlifują* je, *hartują* brysztangii, używają *hantamrów*, *śrubli*, *zacamrów*, *mesli*. Przy *szwejsowaniu* żelazo musi mieć „*hyca*“. Ślusarze *sztancują*, *kernerują*, *buksują* itp.

Przed ostatnią wojną podejmowano prace w dziedzinie polszczenia tego słownictwa z wynikami często bardzo dobrymi. Dość wspomnieć sukcesy wyrazu „*czołg*“ (utworzonego przez derywację wsteczną od czasownika *czołgać*), który w bardzo krótkim czasie wyparł prawie zupełnie z naszego słownika niemiecką pożyczkę — „*tank*“. Podobne wzięcie uzyskały także wszelkie *imadła*, *strugi*, *strugownice*, *wiertarki*, *dmuchawki*, *przebijaki*, *znaczniki*, *wiertła*, *gładziki* i tysiące innych będących w wielu wypadkach tzw. kalkami, to jest wyrazami zbudowanymi z rodzimych elementów słowotwórczych ściśle na wzór konstrukcji obcych (np.: „*przekrój*“ — odpowiada niemieckiemu: „*Durchschnitt*“), często też powstawały nowe formacje utworzone mniej lub więcej szczęśliwie (np. *strug-nica* lub *strug-ownica* jest nazwą warsztatu stolarskiego, tak jakby struganie było główną czynnością stolarza). Prace te jednak przerwała ostatnia wojna, która i w tej dziedzinie dokonała swego niszczyielskiego dzieła. Skutek jest taki, że dziś wracają nawet do poważnych prac technicznych *śrubstaki*, *bory*, *heble*, *dornirki*, *sztamajzy*, *szwejsowania* itp.

W chwili obecnej trudności w dziedzinie słownictwa technicznego powiększyły się w związku z przejęciem różnych obiektów przemysłowych na Ziemiach Zachodnich, w których Polacy przystępując do odbudowy urządzeń i maszyn, przeważnie zdekompletowanych przez wycofujących się Niemców, muszą korzystać z niemieckiej literatury technicznej. Otóż w takiej chwili sprawą bardzo ważną jest powołanie do życia instytucji o charakterze językoznawczo-technicznym, która by wzięła w swe ręce inicjatywę polszczenia słownictwa zawodowego. Instytucja taka po dokładnym zapoznaniu się z językowym materiałem technicznym proponowałaby poprawne nazwy narzędzi, urządzeń, części maszyn, czynności itp. Nie chodzi tu oczywiście o nazwy zgodne z „*duchem języka*“ — jak mówią często inżynierowie — bo językoznawcy to nie *spirytyści*, trzeba jednak tworzyć nazwy zgodne z polską budową wyrazów. Członkiem Komisji Norm, istniejących przy Centralnych Zarządach Przemysłu, powinien być językoznawca, i powinien on współpracować z Instytutami Doskonalenia Rzemieślniczego. Sprawy słownictwa technicznego należałoby przedyskutować na łamach czasopism specjalnych. Gęsta sieć szkół przysposobienia przemysłowego, gimnazja i licea przemysłowe istniejące i organizowane przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu pomogłyby do szybkiego upowszechnienia polskiego słownictwa technicznego. Oczywiście wtedy, gdy kierownicy warsztatów i pracowni poświęcą chwilę czasu na zapoznanie uczniów z terminologią branżową i terminologią tej będą ściśle i systematycznie przestrzegali.

Sprawa jest ważna i pilna.

Stefan Wyrębski

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

DWADZIEŚCIA — DWADZIESCIORO.

„*Dwadzieścia chłopców i dziewcząt*“ czy „*dwadzieścioro chłopców i dziewcząt*“?

Ponieważ mowa o zespole składającym się z osób różnej płci, więc właściwsza jest forma *dwadzieścioro* jako mająca znaczenie zbiorowe. *Dwadzieścia* mogłoby się odnosić tylko do dziewcząt, *dwudziestu* — tylko do chłopców, używa się więc formy *dwadzieścioro* odnoszącej się do tych i tych, gdy są razem. Używanie to nie jest w języku polskim odwieczne, bo np. w tzw. Biblii Zofii z XV w. czytamy: „wszystek dobytek czysty weźmiesz ze sobą, siedmioro samców a siedmioro samic“. *Siedmioro* nie ma tu znaczenia zbiorowego, bo jest użyte oddzielnie o samcach i oddzielnie o samicach. Formy tego typu mają dziś również zastosowanie do grup małych zwierząt lub drobiu i do tzw. pluralia tantum: mówi się *dwoje drzwi*, *dziesięcioro szczeniąt*, *dziesięcioro kurecząt* (tak samo jak *dwoje*, *troje* kurecząt, szczeniąt, źrebiąt). W tych wypadkach zwyczaj językowy nie jest w sprzeczności z logiką, ale popada w nią, gdy mowa o jakiejś jednej osobie z zespołu mieszanego pod względem płci. Wówczas bowiem, nie mogąc powiedzieć: jeden z nich (lub: z was), bo to wyłączałoby kobiety, ani jedna z nich, bo to wyłączałoby mężczyzn, używa się formy rodzaju nijakiego: jedno z was, która nie może się odnosić ani do żadnej kobiety, ani do żadnego mężczyzny. Nauczyciel, zwracając się do klasy, w której są chłopcy i dziewczęta, musi powiedzieć: niech jedno z was przyniesie mi kredę, chociaż o tym, kto pójdzie po kredę, można byłoby powiedzieć oddzielnie tylko albo *jeden*, albo *jedna*. W pewnym artykule poświęconym sprawie współdziałania szkoły i rodziców (Łódzki Ilustrowany Kurier Polski, nr 279, r. 1947) autorka pisze: „W pokoju kierownika szkoły odbywa się konferencja prawie z każdym rodzicem“. Rodzice — to ojciec i matka, ale *rodzic* — to tylko ojciec, i to już w stylu niewspółczesnym; w wymienionym zdaniu znalazł się on jako *genus mixtum* przez nieporozumienie. Należało powiedzieć: *z każdym z rodziców*, a w mianowniku byłoby, tak samo nielogicznie jak *jedno z was* — *każde z rodziców*.

Konieczność stosowania w wyrazach form zgody dość często komplikuje wysłowienie i stwarza trudności, a czasem wywołuje niejasność. W pewnym piśmie codziennym (warszawskim *Expressie Wieczornym* nr 270 z r. 1947) była wzmianka o zorganizowanej przez kogoś obławie na zwierzęta na jakimś przedmieściu. Reporter, karcąc ten wybryk napisał, że „zwierzyną było 13 psów i 1 kot podejrzany o wściekliznę“. Z całości opisu widać było, że wszystkie zwierzęta były przez inicjatora obławy podejrzane o wściekliznę, ale autor wzmianki pod wpływem bezpośredniego sąsiedztwa wyrazów *kot* i *podejrzany* tylko te dwa wyrazy ze sobą uzgodnił i psy skutkiem tego znalazły się jak gdyby poza podejrzeniem. Ścisłość gramatyczna wymagałaby napisania: „13 psów podejrzanych o wściekliznę i jeden kot podejrzany o to samo“. Przymiotnik *podejrzany* musiałby się znaleźć raz w dopełniaczu liczby mnogiej — w zgodzie z formą *psów* — i raz w mianowniku liczby pojedynczej w zgodzie z formą *kot*. Ale wtedy zdanie stałoby się nieco ciężkie. Jeżeli się natomiast „ulży“ budowie zdania, to cierpi na tym treść.

Na pewnej uroczystości przedstawiciel młodzieży powiedział: „przyszłość będzie taka, *jaką* będziemy my“. Atrakecja form: *taka* — *jaka* zwichnęła sens zdania.

Znane są kłopoty stylistyczne z używaniem form właściwego rodzaju przy takich rzeczownikach jak *magnificencja*, *ekscelencja* itp. (raczyła, przybyła, czy raczył, przybył?). W dość różnoraki sposób traktowany bywa pod względem składniowym wyraz *szereg*. W jednym z niedawnych numerów Ekspresu Wieczornego (nr 7 z b. r.) można się było dowiedzieć w związku z pewnym konkursem, że „szereg z tych kreacji wykazały nie lada pomysłowość ich projektodawców“. *Szereg* jest tu użyty zupełnie przypadkowo, ale czasownik *wykazały* zachował formę liczby mnogiej ze względu na znaczenie logiczne „mnogości“ tkwiące w szeregu. Wszystko razem dało budowę trochę niedołążną, bo formy wyrazów nie są dobrze pouzgadniane.

Sens tych przykładów jest ten, że obfitości form nie można — wbrew temu — co sądzą niektórzy — uważać za bogactwo języka. Bardzo często stanowią one czynnik niepotrzebnej komplikacji. Największą zaletą zarówno stylu jak i budowy języka jest prostota, dlatego też zasadniczo objawy upraszczania się form językowych, zanikania niektórych, nie tylko nie są objawami złowróżbnymi i alarmującymi w historii języka, ale przeciwnie, świadczą o postępowym kierunku jego rozwoju.

W pewnym biurze powstał („zaistniał“) spór co do tego, jak mają brzmieć formy żeńskie takich nazwisk jak *Biały*, *Należyty*, *Malolepszy*, *Dobry*, *Choraży*, *Krasny*, *Borowy*. — Mówiąc ogólnie, mamy tu jeszcze jeden przykład tego, o czym mówiłem na początku, mianowicie przykład kłopotów, wynikających z posiadania obficie rozbudowanego systemu form językowych. Bo nie ulega wątpliwości, że byłoby najprościej i życiowo najwygodniej, gdyby nazwiska miały charakter niejako algebraicznych symbolów, niezmiennych, niezależnych w swej postaci od płci, stanu cywilnego, sytuacji w rodzinie osoby, o której mowa. Taki charakter mają np. nazwiska francuskie: *Leriche* znaczy «bogaty», a *Larousse* znaczy «ruda», ale niezależnie od tego, że pierwsza forma jest gramatycznie męska, a druga — żeńska, każda z nich jest własnością każdego członka rodziny — męża, żony, syna, córki. Gdyby ktoś chciał z pana *Larousse* robić pana *Leroux*, a z pani *Leroux* (bo jest i takie nazwisko) panią *Larousse*, to poobrażałby na siebie wszystkich członków rodzin, bo byłyby to kpiny z nazwisk i przerabianie ich na przydomki. W zasadzie uzależnienie postaci nazwiska od realnej treści tych nazwisk jest niedorzecznością: w konsekwencji takiej zasady należałoby uważać, że właściwym odpowiednikiem żeńskim nazwiska *Ciolek* jest *Cieliczka* i podobnie w innych (jeżeli mąż nazywa się *Byczek*, to żona *Krówka* itd.). Fakt, że nazwiska o formie przymiotnikowej mają inną końcówkę w rodzaju męskim, inną w żeńskim, wiąże się historycznie ze sposobem powstawania tych nazwisk: jeżeli pan na Litwinowie stawał się panem Litwinowskim, to pani stawała się panią Litwinowską, bo to był przymiotnik żywo poczuwany w swojej treści realnej, to było określenie pewnej aktualnej właściwości wymienianej osoby, mianowicie tego, że ktoś był z Litwinowa — a nie była — jak zasadniczo dzisiaj — tylko „etykiетка“ społeczna. Dziś punkty wyjścia nazwisk nikogo prócz historyków nie obchodzą. Ważny jest tylko moment społeczny, a momenty przedspołeczne ustępują na plan drugi. I to jest przyczyną, dla której zarówno w żeńskich formach tytułów męskich jak w formach nazwisk można zaobserwować pewną tendencję do nieodmienności. Nawet wyraz *pani* bywa coraz częściej stosowany i do pań: słyszy się o pani *Karpowicz* niezależnie od tego, czy dana osoba jest mężatką czy niezamężną córką. (tak samo jak męski *pan* obejmuje i kawalerów i żonatych); ostatecznie stan

cywilny nie ma bezpośredniego związku z czyjąś pracą społeczną, z pracą nauczycielki, urzędniczki itd.

Stwierdzić te rzeczy jest stosunkowo łatwo, trudniej wysnuć z tych stwierdzeń wskazania praktyczno-językowe. Szober w Słowniku Ortoepicznym formułuje zasadę, że od wszystkich nazwisk mających postać przymiotnikową z wyjątkiem nazwisk na *-ski*, *-cki* tworzy się nazwiska żon za pomocą sufiksu — *owa*. W myśl tej zasady formy żeńskie nazwisk wymienionych w zapytaniach korespondentów miałyby brzmieć: pani *Białowa*, *Należytowa*, *Małolepszowa*, *Dobrowa*, *Chorażowa*, *Krasnowa*, *Borowowa*. Wydaje mi się jednak, że zasada formułowana jest zbyt rygorystycznie. Zwyczaj skłania się raczej ku formie *pani Borowa* niż *pani Borowowa* i ta pierwsza forma jest chyba prostsza. Jeżeli mąż nazywa się *Dobry*, to akcentując dobrodziejstwa formalne naszego przymiotnikowego inwentarza, musimy uznać formę *pani Dobra* za równie nadającą się do użytku jak forma *Dobry* dla męża. *Dobry* — *Dobra*, to różnica tylko gramatyczna, *Dobrowa* — to ujęcie żony przez pryzmat przynależności do męża.

Znam osobę niezamężną, której ojciec nazywa się *Lasowy*. Osoba ta używa tej samej postaci nazwiska, nie modyfikując go zupełnie. W jej najbliższym otoczeniu to się przyjęło i mówi się o niej: panna lub pani — *Lasowy*. Kogoś może to bardzo razić, ale gdy się zważy to, co mówiłem poprzednio o przyczynach tendencji do nieodmienności, to słowo potępienia więźnie, że tak powiem, w gardle.

Sprawa żeńskich form tytułów męskich należy do tych, w których zakresie stosunki jeszcze się nie unormowały i konflikt między formą językową a treścią społeczną odpowiadającego formie pojęcia wciąż odżywa. Niektórych razi takie konstrukcje, jak „pogadanka doktor Jankowskiej“, „odczyt inżynier Kowalskiej“, „telefon do pani doktor“ itp. O ile chodzi o zwrot ostatni, to jest on używany niemal powszechnie: „mówiłem pani doktor“, „widziałem się z panią doktor“, „na pani doktor spoczywa obowiązek“ itd. Nie spotkałem się z liczbą mnogą, która by odpowiadała formie męskiej: „panowie doktorzy“. Nie wiadomo właściwie jakby to brzmiało: „*Panie doktor*“ jest niemożliwe, bo forma liczby pojedynczej „*doktor*“ obok liczby mnogiej *panie* byłaby zbyt raziąca. *Panie doktorzy* raziłoby tak samo, bo męski charakter formy *doktorzy* zbyt mocno daje się odczuwać, mocniej niż w formie liczby pojedynczej *doktor*. Pozostałoby chyba *panie doktorki*, to znaczy, że ktoś mający utworzyć formę liczby mnogiej odpowiadającą liczbie pojedynczej *pani doktor*, ostatecznie powiedziałby *panie doktorki*.

Rzecz jest ciekawa, bo mamy tu do czynienia z walką konkretnych wyobrażeń z pojęciami logicznymi. W wyrażeniach typu *pani doktor* albo *pani minister* bierze górę pojęcie logiczne nad wyobrażeniem żeńskości. Nazwa pewnego pojęcia logicznego mającego zarazem określoną treść społeczną: *obywatel* używana jest i w formie żeńskiej: *obywatelka*. W tym wypadku uwzględniona zostaje w formie nazwy kobiecość, czyli cecha fizyczna istoty traktowanej zasadniczo pod kątem społeczno-państwowym. Jeżeli przepisy prawne wymagają czegoś od *obywateli* lub do czegoś *obywateli* upoważniają, to dotyczy to wszystkich osób mogących być podmiotami prawa, zarówno mężczyzn, jak kobiet. W tym znaczeniu właśnie nazwa *obywatel* jest nazwą pewnej kategorii logiczno-społecznej, a nie — oczywiście — jednostki fizycznej. W nazwie *minister* cechy żeńskości

w ogóle się nie uwzględnia. Ten sposób ujmowania może się przygodnie rozszerzać.

Słyszałem niedawno w pewnym przemówieniu publicznym: „poprosimy obywatela ministra panią Krassowską“. Mówiący uległ atrakcji formalnej wyrazu *minister* i do tej męskiej, a właściwie bezrodzajowej, formy dostosował formę *obywatela*, chociaż zwykle o kobiecie mówi się *obywatelka*. Raz słyszałem nawet: „W tej sprawie trzeba się porozumieć z panem adiunktem dr Nowodworską“. Tu atrakcja form poszła jeszcze dalej i z *pani* Nowodworskiej, która jest bezrodzajowo *adiunktem* i *doktorem*, przez uprzejmość mówiącego i chwilowe zwycięstwo formy nad wyobrażeniem konkretnej istoty zrobił się *pan*. Płeć ocalała dopiero w ostatnim wyrazie, w nazwisku. Przykład jest jaskrawy i dlatego dobrze na nim widać, jakie pierwiastki wyobrażeniowe i pojęciowe wchodzą w grę i kłócą się z sobą. Są to pierwiastki wiążące się z bardzo istotnymi cechami struktury języka polskiego i dlatego trudno o formułowanie kategorycznych znaków praktycznych. Myślę, że co do wyrażenia typu: „odeczyt pani inżynier Kowalskiej“ nie pozostaje nic innego, jak zaufać temu, że się rzeczy jakoś ustabilizują, że zwyczaj językowy okrzepnie w tej lub innej formie i że ta okrzepła forma nie będzie czymś potwornym. „Pani inżynier Kowalskiej“ jest czymś pośrednim między „pani inżynierki Kowalskiej“ a „pana inżyniera Kowalskiego“. *Pani Kowalskiej* nazywać *panem Kowalskim* nie będziemy na pewno. *Inżynierka* jako tytuł nie jest lepsza od *inżyniera*. Pozostaje kompromisowa forma *pani inżynier* zarażona bakcylem nieodmienności, który wywołuje pewne fermenty w formach pochodnych, ale na który nie mamy skutecznych anty-toksyn. Gramatyk nie może zrobić nic innego prócz zastosowania starej, mało co prawda podniosłej i nawet nieco oportunistycznej maksymy: „wykorzeniać, co się da, i uświęcać, czego się nie da wykorzeniać“. W tym wypadku „uświęcać“ znaczy po prostu «akceptować».

Witold Doroszewski

NA MARGINESIE TŁUMACZENIA L. N. TOLSTOJA

Istnieją w literaturze światowej uznane i bezsporne wielkości. Kwestionowanie ich stylu w niektórych utworach może wyglądać na niepoważną pretensjonalność.

Potęga twórczości wielkiego pisarza sprawia, że czytelnik pochłonięty treścią utworu, wciągnięty w krąg przeżyć bohaterów, zafascynowany głębią rozważań psychologicznych i charakterystyk nie zwraca uwagi na usterki stylistyczne, staje się niewrażliwy na niezręczności i potknięcia.

Dopiero tłumacz, gdy weźmie utwór pod światło i dokona drobiazgowego rozbioru każdego zdania, zauważy, że nawet największy geniusz słowa nie zawsze jest jego całkowitym panem.

Trudno uwierzyć, że Lew Tołstoj, który zdobył sławę literacką na obu półkulach, w niektórych utworach ma język niedbały a nawet niepoprawny.

Zachodzi pytanie, jak się ma w tym wypadku zachować tłumacz: czy wiernie oddawać usterki językowe pisarza, czy też je wygładzać i dbać raczej o domniemaną intencję autora niż o literalny przekład.

Pytanie to niejednokrotnie stawalo przede mną, gdy tłumaczyłam „Opowiadania Sewastopolskie“, trzy wyjątkowo piękne nowele opisujące przeżycia

bohaterskich obrońców Sewastopola w okresie wojny krymskiej 1855 roku. Natrafiam na sporo ustępów o wadliwej, nieprawidłowej budowie, które, odnosząc się do tekstu z należyтым pietyzmem, musiałam jednak poprawić, bowiem zachowanie tych usterek w tłumaczeniu uczyniłoby je jeszcze jaskrawszymi niż w tekście autora.

W oryginale: „Odno iz dwuch: ili wojna jest' sumasszestwije, ili jeżeli ludzi diełajut eto sumasszestwije, to oni sowsiem nie razumnyje sozdanija, kak u nas poczemu to priniato dumat“.

Dosłowne tłumaczenie tego brzmi: „Jedno z dwojga: albo wojna jest szaleństwem, albo jeżeli ludzie popełniają to szaleństwo, to nie są oni zupełnie rozumnymi istotami, jak u nas o nich przyjęto myśleć“.

Jest to zdanie zbudowane na przeciwstawieniu dwóch pojęć (jedno z dwojga), tymczasem w tekście nie ma przeciwstawienia, a raczej druga część zdania uzupełnia pierwszą.

Przetłumaczyłam to zdanie w sposób następujący:

„Wojna jest szaleństwem, a więc ludzie popełniający to szaleństwo nie są rozsądnymi istotami, jak, nie wiadomo czemu, powszechnie się o nich myśli“.

W oryginale: „Biednyj oficer, ostawszisz posieredinie komnaty, rieszitielno nie znał, czto diełat' so swojej piersonoj i rukami biez pierczatok, kotoryje wisieli piered nim“.

W tłumaczeniu dosłownym: „Biedny oficer, zostawszy po środku pokoju, absolutnie nie wiedział, co robić ze swoją osobą i rękami bez rękawiczek, które wisiały przed nim“.

Nie można zrozumieć, czy to wisiały rękawiczki, czy ręce.

Przetłumaczyłam w ten sposób: „Biedny oficer został na środku pokoju, absolutnie nie wiedząc co zrobić ze sobą i ze swoimi zwisającymi rękami bez rękawiczek“.

W oryginale: „Izdriedka słyszalsia topot łoszadi proskakawszawo ordinarca, ston ranienawo, szagi i gowor nosilszczikow ili żeńskij gowor ispugannych żytielej, wyszedzszych na kryleczko posmotret' na kanonadu“.

W tłumaczeniu dosłownym: „Zrzadka rozlegał się tętent konia galopującego łącznika, jęk rannego, kroki i rozmowy noszowych lub kobiecey gwar wystraszonych mieszkańców, którzy wyszli na ganek popatrzeć na kanonadę“.

„Topot łoszadi proskakawszawo ordinarca“ w niezwykle ekspresywny sposób oddaje spóźniony i jak gdyby miniony już odgłos uderzeń kopyt konia, który przeleciał (proskakał) — ale „kobiecey głos wystraszonych mieszkańców“ jest wyrażeniem bardzo swobodnym — tak samo jak „patrzenie na kanonadę“ — bo w znaczeniu wyrazu „kanonada“ wrażenia słuchowe niewątpliwie dominują nad wzrokowymi. Nie modyfikując tego ostatniego szczegółu całość przetłumaczyłam w ten sposób:

„Zrzadka rozlegał się tętent konia galopującego łącznika, jęk rannego, kroki i rozmowy noszowych lub kobiece głosy dochodzące z ganków, na które wylegli wystraszeni mieszkańcy, by przyjrzeć się kanonadzie“.

W oryginale: „Marcow leżał nawznicz, zakinuwał żilistyje, obnażonnyje do łokt'iej ruki za gołowu s wyrażenijem na żółtom lice czelowieka, kotoryj stisnuł zuby, czto by nie kriczał' ot boli“.

W dosłownym tłumaczeniu: „Marcow leżał na wznak zarzuciwszy za głowę obnażone po łokcie żyłaste ręce z wyrazem na żółtej twarzy człowieka, który zacisnął zęby, by nie krzyczeć z bólu“.

„Z wyrazem na żółtej twarzy człowieka“ jest zwrotem oczywiście zrozumiałym co do intencji, ale napisanym od ręki, bez namysłu nad układem wyrazów.

Przetłumaczyłam to w sposób następujący: „Marcow leżał na wznak zarzucawszy za głowę obnażone po łokcie żylaste ręce z wyrazem twarzy człowieka, który zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć z bólu“.

Przykładów tego rodzaju usterek można byłoby znaleźć znacznie więcej. Daje się również stwierdzić brak całkowitej harmonii w członach dłuższych okoliczności. Jedno i drugie świadczyłoby o tym, że swego języka, którym osiągał wspaniałe efekty ekspresji, Tolstoj nie czył jako narzędzia artystycznego, nie „pieścił“ się z tym narzędziem. Podobne uwagi nasuwa czasem lektura Prusa.

Józefa Lis-Błońska

„ŚWITEŻ“ ZNOWU PO POLSKU

Zimą 1940 wśród dość przygodnych książek, jakie się wówczas czytywało, znalazły się w moich rękach „Perfумы czarnej damy“ Gastona Leroux. Książka ta jest tłumaczeniem z francuskiego, tłumacz jednak wolał ukryć wstydliwie swe nazwisko; z karty tytułowej dowiedziałam się tylko, że powieść została wydana w Warszawie przez Wydawnictwo Taniej Książki. Pomimo tych nie zachęcających danych czytałam „Perfумы czarnej damy“, aby zająć się choćby na krótko naprawdę mało zrozumiałymi „nadzwyczajnymi przygodami reportera Rouletabille'a“ (podtytuł powieści) i w ten sposób zapomnieć o najstraszliwszych chyba na świecie „przygodach“ większości narodów w Europie.

I o dziwo — autorowi udało się zainteresować mnie i oderwać od zwykłego toku myśli. A w jaki sposób — zaraz opowiem. Oto pod koniec pierwszego tomu główni bohaterowie powieści zawierają znajomość z pewnym tajemniczym księciem Galiczem „jednym z najbogatszych bojarów części Rosji, zwanej Czarną Ziemią, ogromnie żyznej, położonej między borami Północy a stepami Południa“ (str. 146). Książę Galicz choć był właścicielem „jednego z największych moskiewskich majątków“ i „szambelanem jego Cesarskiej Mości“, mimo że „był bardzo delikatny i zarazem silny jak Turek“ nie oczarowałby mnie zapewne, gdyby nie to, że jako poeta i śpiewak zarazem występuje on w powieści z pewnym „egzotycznym poematem“. O tym poemacie śpiewanym przez księcia w sposób „dziwny, już to żalony, już to groźny“ mówi jeden z bohaterów powieści w ten sposób:

„Ach! może czytelniku znasz tę pieśń, jeśliś przekroczył kiedy granice zimnej Litwy, jeśliś był kiedy w rozległym cesarstwie Północy. Jest to pieśń półnagich dziewic, które porywają ze sobą podróżnego w tonie jeziora i topią go bez miłosierdzia.

Proszę, posłuchaj:

„Skoro się zbliżysz do Świtezi nocną porą, z obliczem zwróconym ku jezioru, zobaczysz gwiazdy nad głową, gwiazdy pod stopami i dwa podobne sobie księżyce... Widzisz te rośliny, co pieszczą brzeg, to są żony i córki Świtezi, które Bóg zamienił w kwiaty. Bujają one nad głębiną białymi głowami jak ćmy; liście ich są zielone jak szpilki modrzewiu, które osrebrzył szron.

„Były obrazem niewinności za życia i zachowały po śmierci dziewiczą swą szatę. Żyją w cieniu, brud ich się nie ima, a ręka śmiertelnika nie śmie ich dotknąć.

„Car i jego horda ośmielili się raz zerwać te piękne kwiaty, chcieli nimi ozdobić swe skronie i swe stalowe szyszaki.

„Wszyscy, którzy wyciągnęli ręce nad wodę, (tak straszna jest moc tych kwiatów!) ulegli ciężkiej chorobie lub nagle padli nieżywi“.

„Kiedy czas zatarł w pamięci ludzkiej owo zdarzenie, zostało jedynie wspomnienie kary w myśli ludu, który, uwieczniając je w swych pieśniach, zwie dziś *carami* kwiaty Świtezi!...

„To rzekłszy *Pani jeziora* oddaliła się powolnie; wody jeziora rozwarły się aż do dna, lecz wzrok daremnie szukał pięknej nieznanjomej, której głowę pokryła fala i wieść o niej zaginęła...

Takie były słowa pieśni“.

I tak oto piękna *Mickiewiczowska* „Świtez“ przetłumaczona wraz z innymi balladami na francuski dostała się zapewne już do powieści G. Leroix w zniekształconej szacie. W przekładzie „Perfum czarnej damy“ na język polski dokonany przez nie znającego literatury polskiej tłumacza, jednego z najgorszych chyba tłumaczy w ogóle, dochodzi ona do nas już tylko w żalostnych strzępkach.

Gdy pierwsze zdumienie mija, podziwiamy, że nazwa jeziora w tych dwuczynnych wędrówkach ballady nie uległa zmianie.

Halina Koneczna

Interesujące dzieje „Świtezi“ na gruncie francuskim są jeszcze jedną ilustracją tych zniekształceń, jakim rzeczy słowiańskie ulegają „w oczach zachodu“. W piśmie codziennym *L'ami du peuple*, które w ciągu kilku lat wydawał przed wojną słynny Coty, drukowana była w r. 1928 czy 1929 powieść pod tytułem *Les requins de Paris* (Rekiny Paryża — mieli nimi być cudzoziemcy). Bohater powieści — a zarazem jeden z najbardziej zbrodniczych rekinów — nosił nazwisko Alfonski i scharakteryzowany był jako „*ce Slave, vomé par les bas-fonds d'un ghetto lituanien*“ — „ten Słowianin wyrzygnięty z dna getta litewskiego“. Fakt, że nie miał jeszcze cech węgierskich czy laplandzkich, świadczy o tym, że autor mimo rozległości horyzontów geograficznych zachowywał poczucie umiaru.

W. D.

JAKIE TO WEJ WESELE BEŁO NA BUKOWINIE

Umieszczamy poniżej napisane gwara góralską opowiadanie, które Redakcja otrzymała od pewnego ucznia liceum, absolwenta gimnazjum zakopiańskiego.

Tekst drukujemy jako sympatyczny objaw zainteresowania gwara i wierne odtworzenie zarówno samej gwary jak i pewnych momentów folklorystycznych. W otrzymanym tekście Redakcja nie dokonywała żadnych zmian.

Red.

U Budza, u Jaśka, co to do niego do Terescarza wołajom, beło wte to wesele. Piękne tyz to beło wesele, piękne, bo i Jasiek hłop bogaty i Kramarzowa dziewczka jedynicka tyz nie biedno ona była. Přišli do nos druzbowie na to we-

sele pytoć¹). Jo wte du domu od wojska raze z Józkie, wicie, z brzyzka, co pote na jakaści horość umer, jaze ode Lwowa prziseł, co my wte w siém dni teli kawoł świata obešli.

Ne i pošli my na to weselisko, bo nom storsy družba pedzioł, co nos Jasiek barz²) pięknie pytoł. Bedzie co pić, pado, bee sie z kim bić. „Kie tak godocie — jo im mówiem — to juz musem isć, no bo jako“. Jo wte jesce parobke bël, tok bitki wsielijakie straśnie rod widzioł, a juz na weselu to raty!

Juz béło po cepinak, o juz dobrze musiało wej być po północku, moze jakie dwie, abo i trzi godziny, kie Józek godo do nos „hłopci, pociez³) se mnom do pola na file“. Pošli ś nim jacy⁴) bukowianie, bo ón mioł straśnie powazanie u tyk parobków, siumny⁵) bël hłopok. Jo zostalek w izbie bok wte z panom młodom tończył, przecie ni mógek jej ostawić, sama by se bockowała⁶) cy jako.

Przišli hłopcy, straśnie mocni byli, kie krocyli to jaze na polu slyhno béło ciupozkami ik brzęceć⁷), fcieli się dziewczkom straśnie siumnie pokozac. Pomyślolek se, co oni się hań na zbójnickiego w siéni namówili, straśnie bukowianie sie wte fcieli przed białcanami z tańcami pokozac. Stanonek se przed muzykom, świsnonek po bacosku, jaze syćka sie na mie uobeźzeni i śpiewom na takom fajnom, zbojeckom nute. Wyręcałek ik.

„Hłopci bukowianie, coz po nos zostanie,

Śwarnym⁸) dziewczkom załość, po karcmak pisanie⁹)“.

Myślałek, co óni tończyć zacnom, ale, haj, óni sie ta nie na tońce, ba białcanów dobić ukwalowali.

Hłopcyska sie duhem zwyrtnełi, białcanów w kąć stusili¹⁰) nie w ten, ka cyganie, muzyka, siedzieli, ba w drugi, a ludzi syćkik do pola wypcholi. Jo ni miałek juz casu wyskoczyć bez dźwierze, telo cok ciupage do gorzci hyciel, kiek do dźwierzy biegnuł, stanonek se, plecyska o piec, nogami o prógek sie zapor, toporzisko w rękak i myślém se, kie haw wtory ku mie hipnie, e, jo po nim uostrzem, nie uobuhem. Nie sełek ku niwtorym¹¹), bo nie wiedziołek, co i jako, anik nie bël zmówiony, ani nie.

Juz tam Józek Ryniasianów po tyk białcanak godnie zbyrcał ciupagom, ale uoni tyz hłopcy, ciupogi haw mieli i woleli ta prac, nie zaś po łbak uobuhe i nie obuhe brać.

Straśny w tyj izbie durk bël i jesce wtorysi z białcanów straśnie klon, bo mu wte prawą rękę wykręcili i bez włosy od coła jaze het na tył, jaze do karku bël przejhany.

Roz ku mie wtorysi hipnon. Ja na kółkak zazbyrcał, zamachnonek sie popod sosrąb, uostrze dołu¹²) obróconek mioł. Zestrosył sie, w bok skocel.

Nidzek nie slysoł, co béło hań w polu, ale sie w siéni chłopci sebroli i do dźwierzy zaceni burzić. Coz, kie zaparte bély. Ale sie oni hań długo nie martwili, ba zaceni rubac. Siélne hłopy bély, to ciupogi doroz na haw tom stróne przechodziły, bez drzewo, bez syćko. Ostrza sie ino łyskały, hoć hłopów widno nie béło. Wyrubali hnet dźwierze i jedén, wicie, Franek Miedzioków, ten co haw tu blisko siedzi, hipnon do izby, przisiód se, bo straśnie górom ciupogi fyrcały, toporzisko od ciupogi trzymał w obu rękak, nade hłowom i krzicy ku mnie „Paweł, tuś!“.

Jo mu juz ta nie nie pedziołek, ne dyć przecie widzioł, cok haw¹³), a nie w kościele, na jambonie.

Wtorysi z białcanów prasnon Franka bez tom ciupage, co ón se wej zasta Wiel, uodbiło si od niej uostrze na okuciak, ale na płask, tak jak rękóm, wzion w samom skróń. Doroz siad na ziem, telo, co jesce wyskocel do siéni.

Skocyli wte hłopci do izby, oni ta wiedzieli, co jo haw¹³⁾ jest, i do białcanów. Hipnonek wte i jo ś nimi, ne i piersego hłopca, młody bël, cosi ze dwaścia rók miol i freirecke¹⁴⁾ w Groniu, ucionek rubaničką, no tom ciupagom... e, cozta bedem gadoł. Zyw to ón ta bël, po dwók rokak hłop juz na hole, na Pańscyce, ka ón kosor miał, ku owcom móg iść, jacy sie na kiju spieroł. Telo ino co freirecke śwarnom straciël, bo óna inego bez ten cas zalubiła, z Bukowiny on bël, nie znacie go.

Prziorpli my ik ta ku ścienom, jaze jedni bez okna, co ik ręcami powybijali, do pola hipkoli, inni drugie dźwierze wyrubali i popod iate, bez ogród ku Białce się broli. Pył jaze seł spod kyrpcy, hoć ta i ciémno bëło.

Nie zabiëli my hań wte nikogo, ale coz, kie nas pote do miasta do hereštu powiedli. My pedzieli, co my sie tak jacy, do śpasu biëli, ale haj, wolej do wotu gadoć, jako do tyk ziandarów z miasta...

Pote pon młody z panom młodą na sope iść spać musieli, bo w izbie nie bëło na cym, héba na wiórak z pościeli, a i to nie fajnie, bo strasne scypecki ś nik bëły.

J. D.

¹⁾ pytoć = prosić

²⁾ barz — wymawiane **bars** (czasem **basz**) = bardzo

³⁾ pociez = pójdzicz

⁴⁾ jacy = tylko

⁵⁾ siumny = mający fantazję, rozmach

⁶⁾ bockować = towarzyszyć w tańcu

⁷⁾ słyhno bëło ciupozkami ik brzęceć — „accusativus cum infinitivo“ częsty w gwaraże góralskiej

⁸⁾ śwarny = ładny

⁹⁾ po karcmak pisanie = nie popłacone rachunki

¹⁰⁾ stusili = zepchnęli

¹¹⁾ ku niwtorym = do żadnych

¹²⁾ dołu = do dołu, ku dołowi

¹³⁾ haw = tu

¹⁴⁾ freirecke = kochankę

CZYTAMY I SŁUCHAMY...

A przy tej sposobności możemy natrafić na formy lub wyrazy już to ciekawe, już to pouczające, czasem godne nagany, a wreszcie po prostu zabawne. Ciekawostki takie będziemy notować i w miarę możliwości — dawać im właściwe tło i objaśnienie.

T r o l l e y b u s

Powszechnie wiadomo, że wyrazy obcego pochodzenia czy w ogóle takie, które, w przeciwieństwie do większości słów rodzimych, nie mają słowotwórczego oparcia w wyrazach sobie pokrewnych, a więc po prostu niezrozumiałe — bardzo łatwo ulegają fonetycznym przekształceniom, czyli, jak to się mówi, bywają przekręcane. Owo przekręcanie może być dwojakie: albo będzie to tylko mechaniczne jakby przestawienie lub przekształcenie głosek, jak np. *kompinacja* — zamiast *kombinacja*, *ledykimacja*, *leworwer* — zamiast *legitymacja*, *rewolwer*, albo też, co często się dzieje — fonetyczne przemiany będą działać nie na ślepo, lecz postarają się zbliżyć dany wyraz do innego, bardziej zrozu-

miałego. W ten sposób wyraz, przedtem wiszący w pustce znaczeniowo-etymologicznej, zostaje bądź jako tako zaczepiony o jakąś stalszą pozycję słownikową (np. *metrykuła* zamiast *matrykuła* — dociągnęła się do zrozumialszej *metryki*), bądź też daje się mocno osadzić w rodzimym gruncie słowotwórczym. Znany przykładem tego drugiego zjawiska, zwanego etymologią ludową lub naiwną, jest przekształcenie *ementarza* w *smętarz* i wtopienie go w swoje podłoże wyrazów *smętek*, *smęcić się*, *smętny*... Na tym samym tle zażartował sobie Mickiewicz z Gerwazego, przekręcającego hrabiowskich *wasalów* w sarmackich *wąsalów*.

Umieszczony w nagłówku wyraz *trolleybus* jest typowym okazem obcego, i to świeżej daty, przybysza, który w świadomości a może nawet w podświadomości mówiących na gwałt szuka słowotwórczego oparcia.

Chociaż *trolleybusy*, na przykład warszawskie, są pochodzenia rosyjskiego i francuskiego, na Wybrzeżu zaś — szwedzkiego, oznaczający je wyraz jest Anglikiem. Ang. *trolley bus* to wyraz złożony: *trolley* (pierwotnie *wózek*) oznacza rolę, rolkowe urządzenia doprowadzające prąd z górnej sieci (stąd zapewne nowotwór *rolkowiec*, który swego czasu wypłynął w konkursie jednej z gazet), *bus* zaś — to angielski skrót od *omnibus*.

Trolleybus — właśnie w związku ze świeżością tej pożyczki — zachował u nas pisownię oryginalną (w formie spolszczonej powinno być *trolejbus*), poprawna zaś jego wymowa nie usiłuje naśladować brzmienia angielskiego, zbliżonego do *trolibas* z przyciskiem na *o*, lecz jest tak zwaną wymową literową.

I tu zaczynają się wahania i przekształcenia. Po pierwsze wyraz otrzymuje polski przycisk na przedostatniej sylabie. Jak jednak dalej wtopić w polszczyznę to brzmienie, by było tak w niej zadomowione, jak swojsko czują się na ulicach naszych miast oznaczane przez nie pojazdy?

Humor warszawskiej ulicy najśmielej tę rzecz rozstrzygnął i z miejsca ukuł wyraz *trajluś*, którego temat słowotwórczy niefrasobliwie nawiązuje do czasownika *trajlować* (*gadać bez ustanku*, *pytlować*, — *trajkotać*), formant zaś czyli przyrostek *-uś* wzmacnia jeszcze ten ton żartobliwy i zabarwia go niemal pieszczotliwie, kojarzy się bowiem z formami typu *piesuś*, *synuś*, *Jędruś*, *chlebuś*. Całość zyskała na poręczności przez obcięcie jednej sylaby.

Jest to jednak, jak się rzekło, nazwa żartobliwa. Bez takiej żartobliwej intencji wielu warszawiaków przekształca *trolleybus* w *trojlebus* lub *trojlibus*. Być może jest to jakieś podświadome dociągnięcie zupełnie obcego elementu *trol* do istniejącego w polszczyźnie *troj* (*trojak*, *troić się*, *stroić* i dużo pochodnych). Chwiejność samogłoski w drugiej sylabie — jeśli odrzucić mało prawdopodobny wpływ wymowy angielskiej — da się wyjaśnić na tle oboczności *le: li*, znanej u nas oczywiście przy uwzględnieniu także postaci gwarowych: *lezie* — *lizie*, *ślepie* — *ślipie*, *chwalimy* — *chwalemy*, *komplement* — *kompliment*. W podanych tu przykładach oboczność *le: li* zachodzi z trzech różnych powodów, ale w to się już wdawać nie będziemy.

Poza tym wyjaśnienie całości zjawiska możliwe jest na drodze czysto fonetycznej; mówilibyśmy wtedy o zwykłym „przekręceniu“ bez nawiązań słowotwórczych. Mianowicie, grupa *trolley* już z samej swej istoty, bo jako zawierająca blisko siebie umieszczone głoski *r* i *l*, łatwo się wykoleja. Wiemy dobrze, że często przekręca się takie wyrazy jak *kulturalny*, *partykularny*... Dalszym motywnym tego zniekształcenia może być moment upraszczania podwójnego *ll*,

przy czym nie byłoby tu zwykłego zaniku spółgłoski (jak w *ilustracji, Izabeli* — z dawniejszych *illustracja, Izabella*), lecz przeniesienia *j* na miejsce jednego z *l*, a więc przejście z *trolley* do *trojle*.

Jakaż z tej przydługiej gawędy praktyczna nauka? — Piszmy (tymczasem) *trolleybus*, wymawiajmy *trolejbus* i rozumiemy, skąd się wziął *trojlebus*, *trojlibus* i żartobliwy *trajluś*.

A. S.

Forma *trojlebus* dostaje się już czasem i do druku. W numerze *Dziennika Łódzkiego* z d. 7. XI. 1947 r. w tłumaczonej z rosyjskiego nowelce „Zagadka“ dwukrotnie była mowa o *trojlebusie* (choć po rosyjsku jest *trolejbus*).

A swoją drogą jest rzeczą godną uwagi, że ani poszukiwane nawet drogą konkursów projekty spolszczenia nazwy *trolejbus*, ani figlarne skróty właściwie się nie przyjęły i najczęściej używana jest nazwa obca przybyła wraz z nieznanym dotąd przedmiotem.

W. D.

„S ł o w n i k o r t o p e d y c z n y“ i inne dziwy.

Ortoepia — nauka o poprawnym mówieniu (w odróżnieniu od *ortofonii* — nauki poprawnej wymowy) jest istotnie słowem rzadkim i przez to egzotycznym. Niemniej jest rzeczą zabawną, gdy ktoś myśląc o cennym „Słowniku ortoepicznym“ Stanisława Szobera, a więc jednak interesując się sprawami języka — mówi o „słowniku ortopedycznym“ albo po prostu: ortograficznym. A nie jeden księgarz zapytywany bywa o takie właśnie „ortopedyczne“ dzieło.

Distinguendum est — mawiają ludzie pamiętający jeszcze trochę łacinę — należy rozróżniać; druga część słów *ortopedia, ortopedyczny* zawiera grecki pierwiastek znany z czasownika *paidéuo*, wychowuję, *paideia*, wychowanie (tu w znaczeniu *ukształtowania*). W *ortopeii* natomiast odnajdujemy dostojny dziś *épos*, który w dawnej grece znaczył tylko *wyraz, mowa*. Człon pierwszy: *ortopochodzący* od przymiotnika *orthós* — *prosty*, stąd *prawidłowy*, nie wymaga szczegółowych objaśnień i jest mniej więcej zrozumiały. *Ortopedia* zatem, to dosłownie „prawidłowe kształtowanie“ domyślamy się: „uszkodzonych części ciała“, *ortoepia* zaś — „prawidłowa mowa“.

Nie sięgajmy jednak aż do greki. I ze spolszczoną łaciną bywają trudności. Mają je nie tylko ludzie mniej wykształceni, którzy, nie znając słowa *patria* (ojczyzna), z naszych powojennych *repatriantów* robią *repartiantów*, że niby *partiami* wracają do kraju. Tak też właśnie, a więc „Repartiant“ albo nawet „Repartriant“, brzmi w ustach sprzedawców gazet tytuł przeznaczonego dla tzw. emigrantów czasopisma.

Także jednak i poważny urzędnik w biurze zupełnie świadomie „poprawia“ czasem niejasną dla siebie *remunerację* (dodatkowe wynagrodzenie, z łac. *munus, muneris* — nagroda, dar) na *renumerację*, co by znaczyło „ponowne ponumerowanie, przenumerowanie“. I tutaj — dociąga się brzmienie obce do brzmienia wyrazu zrozumiałego, wyrwa się słowo z językowej próżni. Cóż jednak skoro przy tym powstają nonsensy, a może się zdarzyć i — kompromitacja.

A. Siczkowski

CO PISZĄ O JĘZYKU? *)

Ostatni zeszłoroczny zeszyt „Języka Polskiego“ otwiera artykuł W. Kotańskiego o kilkunastu wyrazach japońskich w języku polskim. Autor nie pominął takich nawet ciekawostek, jak warszawsko-„wiechowe“ *uderzyć w kimono* czy też, z innego zakresu, *mikadko*, szklaneczka. Takie oto bywają boczne ścieżki przekształceń znaczeniowych. Pedantyczna może ścisłość kazałaby dodać, że w okupacyjnej zwłaszcza Warszawie, obok podanej przez autora formy *ryksiarz* słyszało się także *rykszarz*, i może nawet ta druga postać, bez palatalizacji, uchodziła za poprawniejszą (por. nie spalatalizowane *sklepikarz* obok gwarowo-warszawskiego *sklepiczarz*, a częściej *sklepiczarka*).

Z kolei A. Mirowicz, który się specjalizuje w zagadnieniach wyrazów niesamodzielnych, pisze w przejrzystym i zwartym artykule o przysłówkach stopnia, określających liczebniki, zaimki i rzeczowniki (a więc nie tylko czasowniki). Warto tu przypomnieć, że jak o tym swego czasu pisała H. Koneczna — także inne przysłowki, nie tylko stopnia, występują w roli przydawek przy rzeczownikowych. Chodzi tu o wyrażenia w rodzaju *chłopiec serio*, *ludzie stamtąd*. Nie dla krytyki samej, lecz dla zwrócenia uwagi wspomnimy jeszcze nawiasowo, że A. Mirowicz zalicza do przysłówek wyrazy *dlatego*, *po to*, *przecież*, które tradycyjnie uważane są za spójniki.

K. N. polemizuje z Arturem Chojeckim w sprawie niektórych form i zwrotów z książki Karola Estreichera, wytkniętych przez A. Chojeckiego jako błędne. I tutaj raz jeszcze się okazuje, że mimo programowego t. zw. liberalizmu językowego czołowych autorów „Języka Polskiego“, gdy chodzi o literackie regionalizmy, autorzy ci okazują się nie mniejszymi „pedantami“ niż np. warszawscy miłośnicy języka. Przecież tylko uczuciowy (myślę o uczuciu „lokalnego patriotyzmu“) stosunek do zjawiska podyktować może taki wykrzyknik (mowa o obocznościach typu *Tarlówny — Tarlównej*): „któż powie: *z Tarlównami, o doktorównach?*“ — skoro w takiej np. Warszawie właśnie *każdy* tak mówi. Czytelnik dopiero po namyśle się orientuje, że piszący broni widocznie form *z Tarlównymi, o doktorównych, o Tarlównych*, a więc form, dla warszawiaka choćby, dziwacznych, obcych i odczuwanych jako rusycyzmy (por. ros. *Romanovy*, dopełniacz *Romanovych* obok pol. *Romanowowie, Romanowów*). Ogólne zatem stwierdzenie, że odmiana form na *-ówna* jest mieszana (rzeczownikowo-przymiotnikowa) jest nieściśle, w najlepszym razie — niezupełne.

Ani nas, ani nikogo dziwić nie powinno, że krakowianinowi bliskie są regionalizmy krakowskie, warszawiakowi — warszawskie, a poznaniakowi — poznańskie. Przeciwnie, jest to rzecz naturalna, zrozumiała, a więc — nawet miła. Niemniej jednak regionalizm pozostaje regionalizmem i nie może być uważany za obowiązującą formę tzw. ogólnopolską.

Jak w poprzednich, tak i w ostatnim zeszycie „J. P.“ nie brak dyskusyjnych dodatków do dawniejszych artykułów oraz dodatków i uwag do tychże dodatków. W tym dziale — całkowicie przyznajemy słusność St. Hrabcowi, prostującemu twierdzenie P. Zwolińskiego o rzekomo wojennym (i lokalnie lwowskim) pochodzeniu wyrażenia *szafa gra* (w znaczeniu *wszystko w porządku*,

*) Z powodu zależnego od wielkich trudności technicznych opóźnienia w ukazaniu się niniejszego numeru PORADNIKA JĘZYKOWEGO, kronika jest bardziej historyczna niż aktualna. Postaramy się wyrównać ten brak w najbliższych numerach.

rzecz dobrze idzie), gdyż jest to stary i szeroko poza Lwowem znany zwrot żartobliwy, natomiast tracimy orientację co do meritum sprawy, przeczytawszy redakcyjny dodatek do sprostowania W. Doroszewskiego w sprawie porządku wyrazów („dom otwarty — otwarta głowa“). Tą swoją kropką nad i redakcja „J. P.“ głośną już sprawę *rekolekcji zamkniętych* czy *zamkniętych rekolekcji* roztopiła w czymś nieokreślonym.

W czasopiśmie i prasie codziennej pisze się o języku nie za wiele. Od czasu do czasu ktoś nagderze na ortografię (nie wywołujmy wilka z lasu), ktoś, jak np. inż. J. Hurwitz w 3 numerze „Odrodzenia“, nie bez słuszności skrytykują nietrafną, z rzeczowego stanowiska, przenośnię *planowanie długofalowe*, *polityka długofalowa* (lepiej po sportowemu: *planowanie długodystansowe*, *polityka długodystansowa*, jeśli nie „staroświecko“ — *na długą metę*, *na dalszą, daleką metę*).

B. Włodarz w słusznym, lecz trochę rozwlekłym artykule „O czystość języka“ („Tygodnik Warszawski“, nr. 2) występuje przeciw „jeszcze jednemu typowemu objawowi demoralizacji i ogólnego upadku człowieka“, jakim jest „zalew plugastwa językowego, które w nie spotykanej dotąd formie i rozmiarach, objęło już niemal wszystkie warstwy społeczeństwa“. Jak widzimy, autor używa terminu *czystość* nie w utartym znaczeniu *puryzmu* językowego, nienadużywania wyrazów obcych, lecz rozumie go raczej jako *purytanizm*, wolność od „ordynarnych przekleństw i grubiańskich wyrazów“, których używanie stało się „jakąś modą językową z upodobaniem akcentowaną przez wszystkich i przy każdej okazji“. Podkreślając społeczno-moralną wagę tego szpetnego nawyku, autor szuka środków zaradczych i przypomina przedwojenny zwyczaj ściągania mandatów karnych za „publiczne użycie plugawego wyrazu lub przekleństwa“. — Gdyby udało się odnowić i urzeczywistnić ten przepis, powstałby niezgorszy fundusik; o tym każdy wie z własnego, niestety, doświadczenia słownikowego.

Zwyczaj prowadzenia tak zwanych (nienajefektowniej) „kącików językowych“ żyje jeszcze na łamach niektórych pism. Do niedawna w „Gazecie Ludowej“ dział taki prowadził pod trochę pesymistycznym tytułem „W obronie języka polskiego“ literat-polonista, Artur Chojecki. W dziale tym były omawiane zarówno doraźnie spotykane błędy w odmianie, składni i użyciu wyrazów, jak i ukazywały się recenzje niektórych książek ujęte ze stanowiska poprawności językowej.

W „Tygodniu“ dział językowy, dosłownie „kącik“, zapełnia, że pozostaniemy przy tej metaforze, Bakalarz. Nie chcielibyśmy Bakalarza posyłać do bakalarni, ale w jednym z zeszłorocznych numerów „Tygodnia“ fatalnie wymknęła mu się taka dziwna regułka, że zaimek *czyj* rządzi dopełniaczem. Rozumiemy, że autorowi chodziło o zestawienie: *czyj dom* — *dom ogrodnika* (a więc *dom* + dopełniacz), jeśli jednak pouczać, to już ściśle. W pierwszym styczniowym zeszycie „Tygodnia“ nasz Bakalarz zajmuje czytelników niewinnymi, a dla wielu ciekawymi pogadankami etymologicznymi. Oczywiście źródło — „Słownik“ Brücknera.

Wreszcie pismo kobiece „Moda i Życie Praktyczne“ od czasu do czasu poświęca jakiś ustęp sprawom języka. Tak np. w połowie ub. roku artykułem „W Polsce nie mówimy po polsku“, redakcja otworzyła konkurs na spolszczenie paru bodaj nazw z zakresu kuchni i mody, słusznie przypominając, że za-

miast *blanżerować, panierować, faszerować, drylować* możemy z powodzeniem *nadziwiać i wydrzącać*. O ile nam wiadomo, konkurs jakoś nie dał godnych druku wyników. Nie zrażając się tym, redakcja zamieściła w numerze 42 zacny artykuł: „Jak nie należy mówić“ (*lubieją, z powodu książki itp.*). Z nowym rokiem ten sam bój pani *ka-ja* rozpoczęła na wesoło (nr 3, „Wesoły kącik — Jak należy mówić?“), w miłej formie wytykając parę błędów fonetycznych (*„tretuar, ósmiu*) i niewłaściwych wyrażen (*kolejka za węglem, co proszę?* itp.). Prosimy o więcej choćby takich właśnie pogodnie ujętych, felietonowych artykułków. Przecież w piśmie stale prowadzącym poradnik kosmetyczny, krawiecki, kucharski, lekarski, prawny, towarzysko-obyczajowy — mógłby się na dobre przyjąć dział językowy, tak ważny właśnie w dziedzinie społeczno-obyczajowej.

A cóż dopiero mówić o pismach literackich? Nie wołamy o „kąciki“, ale oczekujemy od czasopism służących współtworzeniu kultury narodowej i społecznej wszechstronnego zajęcia się tym tak złożonym a tak nierozwalnie splecionym ze zbiorowością i jej życiem zjawiskiem, jakim jest język ojczysty.

A. S.

DO CZYTELNIKÓW

Redakcja Poradnika Językowego zwraca się do wszystkich osób interesujących się językiem z prośbą o nadsyłanie wszelkich spostrzeżeń czynionych nad bieżącym życiem języka, uwag krytycznych co do form językowych, sposobów wysławiania, zwrotów stylistycznych dających się zauważyć w mowie potocznej, w przemówieniach publicznych, w radiu, prasie — a także wszelkich pytań dotyczących spraw poprawności językowej i nauczania języka. Na pytania te Redakcja odpowiadać będzie w dziale „Objaśnienia wyrazów i zwrotów“ a także okolicznościowo w innych rubrykach.

WYDAWCA: PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
WYDANO Z ZASIŁKU PREZYDIUM RADY MINISTRÓW

REDAKCJA:
WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4, ZAKŁAD JĘZYKA POLSKIEGO
UNIwersytetu warszawskiego

KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR WITOLD DOROSZEWSKI (REDAKTOR NACZELNY), DOC. DR HALINA KONECZNA, DR STANISŁAW SKORUPKA, PROF. DR STANISŁAW SŁOŃSKI

ADRES ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. FOKSAL 17

WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna z przesyłką pocztową	320 zł
Cena pojedynczego zeszytu	60 zł
W roku 1949 ukaże się 6 zeszytów	

„WIOSNA LUDÓW NA ZIEMIACH POLSKICH”

Pod redakcją prof. Natalii Gąsiorowskiej ukazał się dużego formatu, z górną 400-stronicowy tom prac historycznych pt „Wiosna Ludów na ziemiach polskich”, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Udział Polski w rewolucji 1848 r. był bardzo duży. Na barykadach paryskich, berlińskich, na polach bitew włoskich, węgierskich, wielkopolskich krwawiły zastępy najlepszych obywateli polskich w obronie wolności, sprawiedliwości i demokracji. Rewolucja 1848 roku nie jest jednak dostatecznie znana w szerokich kołach! Stulecie tego wielkiego wydarzenia historycznego, „będącego zwiastunem nie ustającej już odtąd, aż do zwycięstwa toczącej się walki ludów o wolność narodową i społeczną” sprawiło, iż wybitni nasi historycy opracowali i uprzyświecili szerokim kołom polskich czytelników „Wiosnę Ludów” przez publikację tej książki.

Na obfity w informacje tom złożyły się prace następujące: Natalii Gąsiorowskiej „Sytuacja gospodarczo-społeczna na zachodzie i wschodzie Europy w połowie XIX stulecia”, Stefana Kieniewicza „Wielkopolska i Prusy Zachodnie w latach 1846-1848” oraz „Galicja w latach 1846-1848”, Ireny Pietrzak-Pawłowskiej „Lata przelomu na Mazurach 1840-1848”, Mieczysława Tobiasza daje obraz „Śląska z lat 1845-1848”, Anna Minkowska przedstawiła stosunki panujące w Królestwie Polskim w latach 1844-1848, Leon Przemski uwypuklił „zagadnienie wojny partyzanckiej w przeddzień Wiosny Ludów”. Jest ciekawe, że na polskich wzorach sprzed lat stu oparł francuski ruch oporu swoją działalność przeciw Niemcom w ostatniej wojnie.

„Wiosna Ludów na ziemiach polskich” jako fachowa naukowa publikacja historyczna winna znaleźć się we wszystkich bibliotekach, czytelniach, świetlicach. Książka jest dostępna dla każdego czytelnika, autorzy bowiem umieli swoją wiedzę ująć w formę jasną, prostą, nie wymagającą komentarzy. Ważne jest przy tym, iż „Wiosna Ludów” została opracowana przez historyków o zupełnie nowoczesnym podejściu do zagadnień dziejowych.

Szata zewnętrzna, druk, papier, układ czynią też zadość potrzebom szerokich kół czytelników.

Tom ten jest pierwszą częścią dużego wydawnictwa poświęconego „Wiosnie Ludów”. — Cena 900 zł.



WZNOWIENIE DZIEŁ STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO



Nowe wydanie dzieł Stanisława Wyspiańskiego było palącą potrzebą kulturalno-oświatową. Na rynku nie można było już dostać żadnego z dramatów tego autora. Państwowy Instytut Wydawniczy wznowił wobec tego przede wszystkim cztery utwory dramatyczne: „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Noc Listopadowa“ i „Warszawianka“.

„Wesele“ poprzedził wstępem i opracował Leon Płoszewski. Pozostałe dramaty uprzyściplenił czytelnikom Juliusz Saloni. Wszystkie te dzieła Ministerstwo Oświaty poleciło do użytku szkolnego.

biblioteki, czytelnie, świetlice prywatnych nabywców; mogą też służyć

Obecne wznowienia dzieł St. Wyspiańskiego powinny zainteresować do użytku wszelkiego rodzaju teatrów.

Tomiki odznaczają się niskimi cenami:

„Wesele“	180 zł
„Wyzwolenie“	180 zł
„Noc Listopadowa“	180 zł
„Warszawianka“	120 zł

Sprzedaż we wszystkich księgarniach

Państwowa Składnica Księgarska

rozpowszechnia na obszarze całego kraju i za granicą wszelkie książki i publikacje ukazujące się w Polsce

Centrala:

WARSZAWA, UL. FOKSAŁ 17

Telefony: 8.58.94, 8.67.37, 8.71.68, 8.34.54

Oddziały:

POZNAŃ, AL. MARCINKOWSKIEGO 21

Tel. 1205

KATOWICE, UL. SŁOWACKIEGO 24

Tel. 305.50, 305-52

WROCŁAW, RYNEK 8

ŁÓDŹ, UL. SIENKIEWICZA 18

Księgarnie:

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 7,

Tel. 8.23.47

POZNAŃ, KSIĘGARNIA PAŃSTWOWEJ SKŁADNICY KSIĘGARSKIEJ, AL. MARCINKOWSKIEGO 21

Tel. 1305

JELEŃ GÓRA, UL. KONOPNICKIEJ 11,

Tel. 26.32

KATOWICE, KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

UL. SŁOWACKIEGO 24,

Tel. 305.50, 305.52

WROCŁAW, RYNEK 8

ŁÓDŹ, KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA, UL. SIENKIEWICZA 18

Państwowa Składnica Księgarska

POSIADA NA SKŁADZIE KSIĄŻKI: TREŚCI OGÓLNEJ, FILOZOFIA, NAUKI SPOŁECZNE, PRAWNE, PRZYRODNICZE, MATEMATYKA, SZTUKI PIĘKNE, LITERATURA, MUZYKA, HISTORIA, GEOGRAFIA, JĘZYKOZNAWSTWO, SPORT I ZABAWA